MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 9 WARSZAWA, 15 KWIETNIA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

DROGA KU POTĘDZE

JAK można polski ideał realizować? Pytanie to stawiam w związku z przesłankami, zarysowanemi w artykułach poprzednich *).

Ludzie niecierpliwi, albo zarażeni ideologją, a nie mający ideału, łudzą siebie i drugich mirażami, które pozatem z łatwością zmieniają. Szukają form a nie istoty rzeczy. Czepiają się objawów zewnętrznych, a nie wnikają do głębi. Pożyczają formułek z zagranicy, a nie myślą o wytworzeniu człowieka, Polaka, obywatela. Mamy przecież pewne koła polityków, które szabelką chciały odzyskiwać granice z roku 1772, o ile nie granice Władysława IV, nie namyślając się nad tem, czy ludność tych ziem życzy sobie naszej tam obecności. Cóżbyśmy zresztą tej ludności dali? Kiedy Polska, wdrożona do praworządności przez pół wieku z górą za Kazimierza i Ludwika, poniosła na Żmudź prawdziwą wiarę, wysoką kulturę i poprawę stanu prawnego, jej misja została powitana wdzięcznie, przyjęta z ufnością i wydała owoce pożyteczne na kilka wieków. Ale kiedy w dwieście kilkadziesiąt lat później Polacy z Dymitrem Samozwańcem ponieśli do Moskwy samowolę i nieład, zostali przez Moskali wyrznięci, mimo dużej waleczności.

Chcąc przyciągać i pozyskiwać dla siebie sąsiadów, trzeba u siebie wytworzyć takie warunki, które byłyby zdolne do wywierania siły atrakcyjnej na słabsze organizmy. Misję kulturalną ma ten, kto posiada wyższą kulturę. Przez osiem lat nie okazaliśmy się, jako zbiorowość tej wyższej kultury.

Mówi się u nas w pewnych kołach między innemi o Białorusi. Białorusin z Mińszczyzny, przekraczając naszą granicę, przy najlepszej woli nie dostrzeże po naszej stronie różnicy na korzyść. Gdzie ludzie siedzieli w dymnej chałupie razem z inwentarzem, tam tak samo siedzą; gdzie były bagna i błota, tam zostały; brudne mieściska nie zmieniły wyglądu; nie zbudowano nowych linij kolejowych, nowych szos, nie stworzono dla ludności nowych źródeł zarobkowania, a często podcięto istniejące dotychczas sposoby: nędza i brud po obu stronach kordonu zostały te same. Przedstawiciele góry z tej i z tamtej strony puszą się, dmą i załatwiają interesantów wedle widzimisię, a resztę czasu topią w ordynarnej rozpuście i prostackiem pijaństwie.

Nie tak wyglądała Polska Kazimierzowska w oczach sąsiadów. Drogi liczne i bezpieczne, obronne zamki, wspaniałe kościoły, nad rzekami spławnemi szpichlerze, miasta ludne, okazałe i bogate, mieszczanie i szlachta wykształceni; wolność, regulowana prawem i całkowite prawne bezpieczeństwo, wolność pracy, liczne okazje do pracy i dorabiania się: oto wrażenie, jakie ówczesna Polska robiła na Litwinach i wszelkich Rusinach. Każdy kupiec perski, ormiański, grecki, ruski, który składał towary w Krakowie, roznosił sławę oświaty i dobrobytu polskiego na wschód, roznosili ją jego parobcy i woźnicowie, wróciwszy do domu z dalekich krajów. A wśród ludności, narażonej na samowolę zbrodniczych książąt i ich posłuszników budziła się zazdrość, ciekawość, potem chęć przyłączenia się do Polski, aby z jej mądrych urządzeń korzystać.

Stworzymy siłę przyciągającą nie przez pożyczanie doktryn modnych z zachodu, lecz przez zastosowanie zachodnich metod myślenia i działania do naszych rzeczywistych warunków. Nauczmy się myśleć i działać po rzymsku, po zachodniemu, a wtedy, spojrzawszy bez złudzeń w polską rzeczywistość, znajdziemy odrazu sposoby naprawiania braków, usuwania złego, budzenia wszystkich energij żywych: pracy, ruchu, działania, tworzenia, nie improwizowania. Chcieliśmy budować państwo przez kopjowanie najmodniejszych form zewnętrznych, nie pytając ani o to, czy one się do naszych warunków nadają, ani o to, jak nasz polski obywatel będzie się w tych narzuconych formach poruszał.

Nie zwracaliśmy uwagi na nasze warunki i przedewszystkiem na psychikę obywatela. Nie widzieliśmy, uchwalając Konstytucję, ustawy społeczne, podatki i daniny, ordynację wyborczą, samorząd gminny i powiatowy, ustawy przemysłowe i t. d., ani tego obywatela, który ma tym ustawom ulegać, ani tego, który jako ramię władzy ma je wykonywać. Nie widzieliśmy, nie znaliśmy rzeczywistości naszego życia, a ci, którym na to uwagę zwracano, wierzyli po rosyjsku, że stosowne paragrafy i przepisy potrafią zmienić tę rzeczywistość i uformować ją wedle ich wydumki.

*) Ob. artykuły „Ideologja a ideał“ w № 4 i „O ideał narodowy“ w №7 „Myśli Narodowej“ z r. b.

Państwo jest dla narodu, więc za punkt wyjścia musi brać nie doktryny, ale rzeczywistość — żywego człowieka. Trzeba tego polskiego człowieka znać i wychowywać na członka zbiorowości narodowej i państwowej. W tego obywatela trzeba wszczepić umiłowanie ideału polskiego, zachęcić do współtwórczości nad jego realizowaniem. Wiara w prawdziwość tego ideału, miłość do niego da obywatelowi zapał, umiłowanie pracy, karność, moc wytrwania, oraz zdolność doskonalenia siebie i swojej pracy.

Obywatela w takiem pojęciu wykształciła cywilizacja rzymska, zachodnio-europejska. Polska dochodziła do szczytu rozwoju, kiedy była żywą współzawodniczką krajów zachodnich, a upadała, ilekroć się z tej współpracy wycofywała. Odrodzenie narodowe za Łokietka i za Stanisława Augusta dokonywało się tylko przez ponowne nawiązanie z zachodem. Stąd wniosek, że jeżeli chcemy żyć i rozwijać się, musimy nawiązać z zachodem. Nasze rodzime doświadczenie pokazuje na czasach Łokietka i Kazimierza, że zespolenie Kresów i urok przyciągający na sąsiadów Polska zaczęła wywierać, kiedy się sama uporządkowała prawnie, administracyjnie, oświatowo i gospodarczo.

U nas jest dzisiaj samowola i brak bezpieczeństwa prawnego. I nie ta sama samowola jest zastraszająca, ale fakt, że krzyczące bezprawia nie wywołują oburzenia zbiorowego obywateli, że kliki i stronnictwa wytykają bezprawie przeciwnikom, a są skłonne do tuszowania, usprawiedliwiania i chronienia przed karą bezprawia, popełnionego przez zwolenników. Tu trzeba wychowywać młodsze pokolenia w obrzydzeniu do bezprawia i w pragnieniu praworządności, to jest równego stosowania prawa do wszystkich obywateli. Dzisiejsze pokolenie zdaje się jest niezdolne do takiego przekształcenia swojej duszy. Wszak najgłośniejsi ludzie dzisiejsi chlubili się tem, że lepią Polskę z błota i że nieskazitelnością rządzić nie można, a tej teorji odpowiada ich słabość do ludzi skalanych i niechęć do ludzi prawych. Najcudniejsze zaś ustawy, stosowane przez nikczemników, muszą wywoływać zamęt. W rękach nieuczciwych tajemnice państwowe są towarem, który sprzedaje się nieprzyjaciołom. To też dopóki dusz nie naprawimy, nie możemy być pewni bezpieczeństwa od zewnątrz i wewnątrz.

Aby obywateli zachęcić do pracy, trzeba im dać możność pracy i zabezpieczenie owoców tej pracy. Tego u nas niema. Praca fizyczna jest ograniczana a nawet karana, praca umysłowa niepotrzebna, bo wiedza naukowa, zdatność, doświadczenie, fachowość i sumienność, o ile brakuje protekcji kliki, raczej zamyka dostęp do pracy stosownej, nie zaś otwiera.

Podniesienie dobrobytu i wytwórczości jest pierwszorzędnem zadaniem polityki gospodarczej. Siła gospodarcza kraju jest fundamentem realizacji ideału. Bez stałej waluty nie może być mowy o oszczędzaniu i wysiłku pracy.

Zachęta i ułatwianie dorabiania się nie jest i moralnie bez znaczenia. Możność dorabiania się i idąca za nią ochota budzi uśpione energje. Chcąc żyć, doścignąć innych, a potem z nimi rywalizować, musimy obudzić i wykorzystać wszystkie energje, między niemi energję robienia majątku. Robienie majątku przez wynajdywanie albo nowych, albo niedosyć wyzyskiwanych źródeł zarobkowania jest twórczością. Jest także i cnotą, bo odwraca umysły od szkodliwej i przestępczej drogi, na jaką je od początku Polski kierujemy, mianowicie od zasady, że ubogi może wzbogacić się tylko przez okradzenie bogatszego. Umysłowość polska dotąd nastawiona jest nie na stwarzanie nowych dóbr, lecz na wydzieranie dóbr istniejących: to jest źródło naszej fałszywej ustawy lokatorskiej, fałszywej ustawy o reformie rolnej, fałszywej ustawy o Kasach chorych, fałszywych ustaw podatkowych i społecznych.

Ułatwienie i zabezpieczenie dorabiania się przez własną pracę wszystkim odwróci umysły, nastawione na krzywdzenie drugich, do tworzenia nowych dóbr. Zwiększenie liczby obywateli niezależnych gospodarczo, jest korzyścią państwa i pierwszym warunkiem gospodarczej niezależności tego państwa. Idąc tą drogą, można nawet z samolubstwa mieć pewną korzyść społeczną.

Do tego celu trzeba stosownie pozmieniać ustawy. Gdy w kraju dobrobyt wzrośnie, będzie można zabrać się do budowy kolei, szos, osuszania bagien, regulowania rzek, asenizacji miast i t. d. Zbudowanie kilku tysięcy kilometrów linij kolejowych w Wileńskiem i Nowogródzkiem mocniej przywiąże tamtejszą ludność do Polski, niż stwarzanie szkół białoruskich z cyrylicą czy grażdanką.

Najbliższe pokolenie powinno już przynieść na świat przeobrażonego ducha, o pełnem poczuciu obywatelskiem, przyśpieszyć proces uniezależnienia gospodarczego jaknajwiększej ilości obywateli, oraz zapewnić państwu nietylko praworządność i kulturę duchową, ale pełną niezależność gospodarczą i finansową. Powinno dać siłę tak moralną, jak materjalną.

I wtedy będzie mogło pomyśleć o rozwiązaniu wielkiego zagadnienia: być albo nie być! Chodzi o Prusy Wschodnie. Umysły, nie zaćmione mrzonkami i lenistwem myślenia, wiedzą, jakie znaczenie dla mocarstwowego stanowiska państwa ma własny brzeg morski. Dopóki Prusy Wschodnie są częścią Rzeszy Niemieckiej, nasz dostęp do morza jest zakwestjonowany. Dzieje wskazują, że Prusy Wschodnie zlikwidowały już dawną Rzeczpospolitą Polską, chociaż wtedy Polska była silniejsza, a Prusy słabsze. Dziś cała Rzesza Niemiecka przyjęła rolę Prus i widząc naszą słabość, oraz osamotnienie jako skutek tej słabości, śmiało wyciąga rękę po polskie Pomorze. Jest to pierwszy krok do zlikwidowania Polski. Nie my, ale Niemcy teraz zdefiniowali jasno problem, postawiony od kilku set lat przez geografję i historję, że jeden z dwóch tworów, ma być zlikwidowany: Polska albo Prusy Wschodnie.

Jak Polska do tego się weźmie — czy drogą orężną, czy dyplomatyczną, trudno dzisiaj przewidywać. Być może, iż z czasem zajdzie odpowiednia konjunktura. Przewidzieć wypadków nie można. Ale trzeba się do nich sposobić i nie spuszczać tego zagadnienia z oka. I trzeba się przygotowywać moralnie, dyplomatycznie, wojskowo, gospodarczo do wszystkiego.

Trzeba więc sposobić siły tak duchowe jak, materjalne. Łokietek wszedł w związki z Papieżem, z królami d'Anjou zarówno na Węgrzech, jak w Neapolu, z Czechami i książętami niemieckimi, z Litwą i t. d.- ażeby sobie przygotować tę rozprawę. Kazimierz uczynił Polskę ozdobą Europy środkowej i w ten sposób przygotował dla Jagiełły szanse zwycięstwa. Ze zmianą form średniowiecznych na nowożytne, musimy wstąpić na żmudną drogę Kazimierzowego przeobrażenia prawodawstwa, administracji, nauk, handlu, przemysłu, skarbu państwowego, obywateli i urządzeń, ażeby przygotować tę rozstrzygającą chwilę. Musimy stworzyć wewnątrz siłę duchową i materjalną i wejść w środek Europy, a dziś już świata, jako czynnik, z którym wszyscy się liczą, jak to było za Jagiełły i jego synów.

A gdy będziemy tak silni, a więc i kulturalni, że potrafimy kwestję Prus Wschodnich załatwić pomyślnie, to wtedy i Czechy z Węgrami i cały Bałkan i wszyscy Rusini i państwa bałtyckie we własnym interesie oprą się o Polskę, szukać jej będą, dobijać się o możność należenia do związku z Polską, jak za Kazimierza Jagiellończyka miasta pruskie o to się dobijały. I Polska zostanie tym regulatorem, tym ośrodkiem krystalizacyjnym, dokoła którego między Niemcami a Rosją zrzeszą się ludy, żądne bezpieczeństwa ale i ładu z kulturą. Wtenczas powtórzy się dumne dzieło Chrobrego.

Trzeba tylko ten ład i tę kulturę odnowić w duszach, utworzyć we wszystkich objawach życia państwowego i narodowego, zrobić z tej dzisiejszej niewielkiej Polski taki Kazimierzowski klejnot, który olśniewa i pociąga; bo daje prawo, kulturę, siłę i dobrobyt.

Jest więc ten ideał polski po rzymsku realny, nie utopijny, wysnuty z dziejów i z geografji, z samej natury rzeczy. Ten ideał, natchniony życiem w sercach Polaków, może pobudzić do pracy nieustającej, na pokolenia rozłożonej, wszystkie utajone energje.

JAN ZAMORSKI

O SNOBIZMIE I SNOBACH

„Vor Sokrates lehnte man in der guten Gesellschaft die dialektischen Manieren abι sie galten als schlechte Manieren, sie stellten bloss".

Nietzsche. Götten—Dämmerung Das Problem des Sokrates, 5.

POZNAĆ strukturę psychologiczną snobizmu, tej pozycji obronnej życia słabego i tchórzliwego, wobec wymagań życia śmiałego i mocnego — ten tylko może, kto pojął to życie mocne—arystokratyzm.

Czemże jest arystokratyzm? Takim porządkiem duchowym, w którym *maximum* treści psychicznej przerobiono na postawy. Cechą rozpoznawczą, zewnętrzną tego porządku jest oszczędność i naturalna płynność reakcyj. Cała fenomologja arystokratyzmu tkwi *implicite* w tej formule.

Arystokrata dąży w każdej chwili do idealnego skomprymowania w najprostszej postawie tego wszystkiego, co dyktują mu wymagania sytuacji jako reakcję właściwą. Aby wyrazić swoje oburzenie, sympatję, radość, uznanie używa środków najprostszych: uśmiechu, podania ręki, rzuconego słówka, jakiegoś złożonego w swej genezie, gdyby ją chcieć rozplątać, a zewnętrznie prostego zachowania się. Wykładanie swoich pretensyj, żalów, uraz odczuwa arystokrata jako gminność, nie iżby wchodził w grę skrupuł obrażonej delikatności — brutalność nie jest obca arystokratyzmowi — lecz z instynktownej odrazy do partactwa życiowego, które tak nieudolnej, ciężkiej, barbarzyńskiej ima się broni jak wywód słowny. Słowo zmieniło tu doszczętnie swoją normalną funkcję: jest reweransem, zaczepką, uśmiechem, podejściem — i czem jeszcze chcecie — jednem tylko nie chce być nigdy: środkiem do odtwarzania tego, co jest „naprawdę". Arystokratyzm mało ceni to, co jest „naprawdę"—wszystkie jego ambicje dążą do tego, aby to „naprawdę" przenieść zzewnątrz — na człowieka, aby on stanowił o tem, co jest „naprawdę". Tam, gdzie jest bezsilny wobec „prawdy zewnętrznej"—tam nią pogardza—dlatego pogardza śmiercią, dlatego lekceważy niebezpieczeństwo. To też na szczytach, ale i na nizinach życia nie trudno dojrzeć owo tak charakterystyczne dla arystokratyzmu odwrócenie normalnej funkcji słowa.

Kiedy Stiepan Trofimowicz (z „Biesów") spotyka się w salonach gubernatora z arystokratyzującym literatem, Karmazinowem (modelowanym pono na Turgieniewie), witającym go ze światową emfazą: „No i cóż robiłeś przez ten cały czas?" — odpowiada, że trudno jest w paru słowach opowiedzieć to wszystko, co przesunęło się przez te długie lata. Dostojewskij zaopatruje ten djalog w ironiczny komentarz: dodaje, że zapytanie Karmazinowa było nierozsądne, a więc w dobrym tonie, odpowiedź zaś Wierchowienskiego rozsądna, a więc w złym tonie. Wierchowienski nie spostrzegł, że nie chodzi przecież nikomu o to, co on, Stiepan Trofimowicz naprawdę robił, że słowo jest tu tylko umówionym sygnałem światowej grzeczności, na który właściwym kontr-sygnałem trzeba było odpowiedzieć, że dynamiczna, aby tak rzec, a nie logiczna funkcja słowa wchodzi tu w grę.

Przykładów takich w literaturze możnaby znaleźć wiele; roi się od nich przesubtelna monografja arystokratyzmu, (rozkładającego się, to prawda, ale dlatego właśnie obnażającego znakomicie swą wewnętrzną strukturę) kapitalne dzieło Weyssenhoffa „Żywot i Myśli Zygmunta Podfilipskiego" [1]. Nieporównana to monografja oszczędnością środków artystycznych, przenikliwością, wielkopańską modestją w przemilczaniu tego, co dałoby się jeszcze powiedzieć, w nie stawianiu kropek nad i. „Podfilipski" właśnie uczy nas, że człowiek należy do „towarzystwa" nie z racji stanowiska, które zajmuje w hierarchji społecznej, ani z racji posiadanego majątku, ani nawet nie wyłącznie z racji nazwiska, które nosi, że można być przeciętnym niczem, nie wyróżniającym się egzemplarzem ludzkim, byle umiało się swobodnie pływać wśród tych drobnych prądzików, których sieć oplata szczelnie życie „sfery", byle władało się swobodnie volapückiem, służącym do oddawania odcieniów bardzo subtelnych, zrozumiałych w ograniczonem środowisku, nie mających kursu poza niem, wyrosłych z pewnej ezoterycznej historji, której wszystkie ogniwa znane są tylko wtajemniczonym, byle umiało się paplać o tych rzeczach małych, bez znaczenia, a wypełniających całe niemal życie wewnętrzne zamkniętego środowiska,— a ze strony arystokratyzmu usynowienie nastąpi niechybnie. Glejtem jest tu zdolność człowieka do reagowania na bodźce życiowe pewnemi postawami całości.

---

[1]) Brzozowski najniesprawiedliwiej, choć z bystrością, prześcigającą nieskończenie to wszystko, co na ten temat i w tym rodzaju kiedykolwiek wypowiedziano — dyfamował „Podfilipskiego" („Widma moich współczesnych"), pomniejszając dzieło zapomocą argumentacji sztucznej, choć pomysłowej. Szczęściem w „Podfilipskim" istotnie niema „duszowidztwa" w tem parnopodniosłem pojmowaniu, które uniemożliwia chwilami czytanie Brzozowskiego. Absolut niema tu nic do roboty, niczego się tu nie „przemyśla do końca", ani „stawia w nowej płaszczyźnie". ..leby to było, gdyby powieść polska w okresie niezmiernie dla powieściopisarza ciekawym, bo w okresie choć powoli, ale bezustatnie odbywającego się przewartościowywania kulturalnego — nie wyszła poza historjozofję i wszelkie „przezwyciężania", gdyby nie zdobyła się na powściągliwe, w tonie spokojnej niezależności pisane studjum obyczajowe. Najdłuższy oddech dziejowy mają te dzieła, które nic od siebie nie mówią, które sobą tylko mówią.

Instytucję tak gruntownie „nierozsądną“ jak pojedynek, gdzie przecież o „słuszność“ nikt się nie troszczy (przypadek a nie „słuszność“ decyduje o losie przeciwników) wyrozumieć tylko można na tle arystokratycznej etyki postaw. Logika pojedynku tkwi w tem, że w ogniowej próbie niebezpieczeństwa odbudowane zostaje to, co postradało: poczucie mocy, niezależności, honoru — jest to rehabilitacja człowieka, któremu narzucono postawę upokorzenia — przez postawę męstwa.

Że etyka arystokratyzmu jest etyką postaw, to nie uszło uwagi najprzenikliwszych psychologów. Wiedział o tem dobrze Nietzsche — jego paszkwil na Sokratesa z tej myśli czerpie swój wigor. Rozumiał to wybornie Stendhal. Doskonała, a niedoceniona jeszcze książka Zygmunta Wasilewskiego „O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej“, zawierająca moc szkicowo narzuconych teoryj psychologicznych, wypowiada się ubocznie również na temat arystokratyzmu. Oto, co pisze Wasilewski: „Pańskość niekoniecznie pochodzi z poczucia władzy, z żądzy panowania, jest raczej poczuciem pełności i doskonałości... jest to poczucie, że środowisko nie wywiera ucisku, że wszystko, co jest w cywilizacji jest ze mnie, dla mnie, że jest we mnie na prawach własności duchowej, że jestem jej panem“. A cóż jest tego posiadania poręczeniem? Przecie nie pokrewieństwo haseł między poglądami mojemi, a poglądami środowiska cywilizacyjnego, do którego należę — gdyby tak było, możnaby ludzi uczyć arystokratyzmu — jeno w przerobieniu na język instynktów i mocno utrwalonych postaw życiowych tego wszystkiego, co przez wieki zdobywała rodzima cywilizacja, niezliczonemi w swej pracy posuwając się ścieżkami. Nie potrzebuję mojego tytułu własności uzasadniać — źleby to było, gdyby jakaś dedukcja dopiero miała mnie przekonać o jego prawdziwości, noszę go w sobie, jest moją krwią.

I tu występuje arystokratyzm jako kultura specyficzna instynktów wyższego rzędu w przeciwieństwie do kultury erudycyjnej, dialektycznej.

Pojmując tak arystokratyzm, powie ktoś, prymat należałoby oddać arystokratyzmowi chłopskiemu, reprezentuje bowiem najtrwalszą, najgłębszą kulturę instynktów. I tak też jest. Będzie to coprawda najuboższa forma arystokratyzmu — chłop, żyjący przez wieki w ciemnocie i ubóstwie duchowem, w poniżającej zależności od pana, musiał wytworzyć kulturę karłowatą, pozbawioną tej strzelistości, szerokości polotu, które właściwe są psychice warstw oświeconych, całą powierzchnią duszy chłonących odżywcze sole cywilizacji, musiał rozwinąć w sobie postawy ostrożności, przebiegłości, skrytości, sknerstwa duchowego. Ale wszystkie te minusy w stosunku do arystokratyzmu „wyższego“ kompensuje jeden wielki plus — głębokość zrostu z własną cywilizacją, głębokość, o której nie marzy się nawet arystokratyzmowi oświeconemu.

*

Stendhal, który na szczęście nie zajmował się snobizmem *ex professo* i nie pisał broszur budujących, jest autorem dwóch kapitalnych powieści (*Le Rouge et le Noir* i *La Chartreuse de Parme*), będących zarazem genjalnemi studjami snobizmu — pierworodnego, noszącego jeszcze dostojne rysy swego wielkiego ojca — arystokratyzmu.

Charakteryzując otoczenie margrabiego de la Mole (*Le Rouge et le Noir*) mówi gdzieś Stendhal, że myśl uchodziła tam za grubjaństwo. Jest to niezmiernie przenikliwe ujęcie złożonej sprawy w jej najżywszym przejawie: arystokratyzm niechętny jest myśli. Myśl jest pierwiastkiem niepokoju, wybiegania poza to, co jest, myśl przebudowuje, szuka, zawsze błądzi, zanim na twardych stanie nogach, ma irytującą pewność siebie, a wiecznie o coś sobie głowę rozbija — myśl to to, co jeszcze niczem nie jest, co chce dopiero czemś zostać — i w tym charakterze zajadłej poszukiwaczki jest myśl przeciwieństwem postawy.

Ale do wyniosłej równowagi ducha należy chyżość, zmysł walki. Arystokratyzm, który się zasiedział— chyli się ku upadkowi. Tylko myśl, trzymana w ryzie wielkich nałogów ducha, może go przed tą katastrofą uchronić. Myśl kieruje jego wzrok na zewnątrz ku tworzącej się niezdarnie rzeczywistości ludzkiej, a przez to zmusza do mierzenia z nią swych sił. Arystokratyzm żywy pragnie tych konfrontacyj, wyczuwa jeszcze rozkosz niebezpieczeństwa, myśl nie będąca dla niego bożyszczem, jak dla wyemancypowanego plebsu, jest w jego rękach mieczem. Tam, gdzie ustała wymiana energji między myślą a postawą, gdzie myśl odczuwa się już jako nietakt, jako grubjaństwo, gdzie w swem automatycznem dostojeństwie zastygły człowiek przestaje rozumieć świat, istniejący poza nim — tam właśnie rodzi się snobizm. Ma on niewątpliwie rodowód błękitny. Jest w swej pierwszej fazie arystokratyzmem manjacko zapatrzonym w siebie, ociężałością, zapowiadającą upadek. Póki w arystokratyzmie tli się jeszcze życie — nie poddaje się snobizmowi, jak zdrowie nie poddaje się chorobie — walczy.

Patetyczny obraz tych zapasów dał Stendhal, malując wewnętrzną walkę Matyldy, zakochanej i pogardzającej jednocześnie swym kochankiem, mizernym chłopkiem, robiącym światową karjerę. Uwielbienie dla siły tego młodego parwenjusza, o ileż ciekawszego od całej przenudnej kliki rycerskich paniczów z ich manekinowym heroizmem i doskonałemi manierami — luzuje się pogardą, której nie może odczuwać margrabianka De la Mole wobec tej nowej, cuchnącej jeszcze potem siły; owo szamotanie się odrazy z uwielbieniem oddaje Stendhal z mistrzowstwem nieprześcignionem, które może po raz pierwszy w literaturze odsłoniło człowiekowi wielkość dramatu upadającej rasy i tragedję snobizmu. Nieporównanie głębszą wykazał tu intuicję Stendhal od Balzaca.

*

Zwalczanie arystokratyzmu, dopóki człowiek nie stał się jeszcze zwierzokrzewem, jest zawsze kłamliwem. Albo się udaje, że pogardza się tem, czego osiągnięcie przerasta nasze siły, albo buduje się swój własny arystokratyzm, swoją własną etykę postaw. Zawsze człowiek stawia wyżej to, co się narzuca siłą swej wewnętrznej organizacji od tego, co legitymuje się hasłami i zasadami. Ludzi zdolnych do oddychania górskiem powietrzem arystokratyzmu jest niewielu. Większość tylko aspiruje. To, co w potocznym języku nazywa się snobem, jest to aspirant arystokratyzmu. Jego stopień najwyższy, bo najbliższy oryginału, to arystokratyzm zaopatrzony w siebie, unieruchomiony, zaskrzepły w megalomanji, o którym przed chwilą mówiłem. Tu niema jeszcze karykaturalności, cechującej niższe stopnie snobizmu, jest tylko upadek sił, anemja. W swej monstrualnej krasie występuje snobizm dopiero tam, gdzie kultura, którą się chce uprawiać i ta, którą dziedziczymy, wyrażają dwa, gruntownie sobie obce stosunki świata. Znamy taki przykład: snobizm żydów, modelujących się na arystokratyzmie polskim (wogóle aryjskim). Plebejusz-Aryjczyk, udający pana (zwłaszcza w naszych stosunkach z tradycjami egalitaryzmu szlacheckiego, który przerodził się w egalitaryzm ogólno-narodowy) ma bądź co bądź sporo wspól-

nej kanwy psychicznej z tym, kogo naśladuje, nie trzeba tu zrzucać skóry, raczej głębiej, konsekwentniej wejść w siebie, dotrzeć do tych niezachwianych, głębokich punktów własnej psychiki, które w kulturze mniej starannej wałęsają się gdzieś luzakiem, skupić to, co było rozproszone. Żyd natomiast, dociągający się do arystokratyzmu polskiego, musi kulturę zmienić na tresurę.

Swój wzór, arystokratyzm polski żydzi zastali w układzie psychicznym dość skomplikowanym, w którym analiza mogłaby wyróżnić ślady najrozmaitszych oddziaływań historycznych. Poszczególne momenty tego układu nieraz ze sobą sprzeczne — wytworzyły mimo to pewien *modus vivendi*, niefortunny może, kto wie, czy nie zgubny w swych konsekwencjach, ale skonsolidowany wewnętrznie, przetłómaczony na język postaw. Była to praca wieków, bitych wieków.

Żydzi przyszli do gotowego — i z gorliwością kopisty, odtwarzającego nawet kleksy przepisywanego dokumentu, poczęli uczyć się poszczególnych kawałków repertuaru arystokratycznego, według skróconego, bo zubożonego o historję, kursu. Mieli szczególnie utrudnioną pozycję przez konieczność naginania się do nuty idealistycznej, tkwiącej — mimo wszystko w arystokratyzmie polskim.

Magnaterja nasza, w większości swojej wywodząca się ze szlachty, co się wybiła na czoło gromady i doszła do znaczenia i bogactw — przez rozluźnienie obyczajów, spowodowane splotem wpływów tak zewnętrznych jak i wewnętrznych, popadała nieraz w libertynizm. Libertynizm to jednak specjalnego pokroju, jakże daleki od świętokradczego zuchwalstwa i jaszczurczej zjadliwości jakiegoś Voltaire'a. Sentyment religijny pnia szlacheckiego, uwydatniający się ze szczególną wyrazistością wśród szlachty ubogiej, najsilniejszy w dzielnicy, gdzie stan jej posiadania indywidualnego przedstawiał się najmizerniej, bo na Mazowszu, odnaleźć można, choć w zmienionej formie i dziwacznych nieraz pokrzyżowaniach również w górnych kondygnacjach społeczności szlacheckiej. Na ten grunt rzucony, wytworzył ów specjalny, zawadjacko-mistyczny stosunek człowieka do Boga, to za pan brat z Bogiem, które ilustruje taki choćby eksces poufałości, jak wyryty przez któregoś z Paców napis na płycie kamiennej, ustawionej w miejscu, gdzie rzeczony Pac cudem śmierci uniknął w jakiejś niebezpiecznej przez most przeprawie:

„Pan Pana z opresyj wybawił
Pan Panu pomnik wystawił —
Pan Pac — Panu Bogu".

Sekretu tego przedziwnego zuchwalstwa niepodobna było pojąć żydowi. Brak mu elementów potrzebnych do syntezy: nie ma ani dobrodusznej ufności w bezmierną dobroć Bożą, ani już tembardziej ochoty do zadzierania z Wszechmocnym Stwórcą w wypadku, gdyby Go za takiego uznał. Ale żyd jest niezrażony: zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby nagiąć się jakoś do tego, co w pewnych sferach obowiązywało. Począł więc oddawać się gorliwie praktykom religijnym, równocześnie (w czem była mu pomocna jedna z wad plemiennych — cynizm) ironizując po cichu wszelki idealizm. Paradoksalność jednoczesnego utrzymywania tych postaw, nie zestrojonych w całość, lecz sztywno obok siebie sterczących (jakiś pokracznie zdegenerowany *ésprit Gaulois à la juive*), bynajmniej go nie raziła; z krytyki kpił sobie, słuchając jej z tym wyniośle ironicznym uśmieszkiem — już ja wiem najlepiej kogo naśladować. Robił cierpliwie swoje — i rósł w uznanie.

W rękach żydów stał się arystokratyzm entuzjastyczną propagandą bezmyślności. Żydzi wyczuli adialektyczną tendencję arystokratyzmu, ale że postawy jego pozostały im niezrozumiałe, praktycznie więc mogli się zdobyć tylko na tępienie myśli. Wyrobili sobie też pod tym względem niezwykłą czujność. Lada zatrzymanie w nieustannej wymianie frazesów budzi w nich niepokój, węszą w tem niebezpieczeństwo, herezję i uspakajają się dopiero kiedy triumfuje zupełna bezmyślność. Trzeba zawsze mówić bez sensu — wiedzieć, czego się chce — jest w złym tonie. Gorliwość w denuncjowaniu każdego poruszenia myśli posunęli żydzi do tego stopnia, że ludzi najrozumniejszych ze swego środowiska uważają za chybione, wybrakowane egzemplarze. Ci rasowi spekulanci, których jedyną formą arystokratyzmu jest bankierstwo, tak się skrzętnie wynaturzyli, że w drugiem pokoleniu nie wydają już finansistów, wszystkie siły idą na inscenizację tego teatrzyku marjonetek, którego nikt nie bierze serjo, a który samym marjonetkom staje się ciężarem.

Jeśli w snobizmie aryjskim widać przerosty, załamania śmieszności — ale wszystko to w ułomnościach i pokracznościach swoich układa się w pewien logiczny deseń—to tu w snobizmie żydowskim stajemy wobec tresury jakiegoś pijanego reżysera, który pomylił porządek przedstawienia i każe wykonać zwierzętom bezsensowne kombinacje ruchowe. A do postaw dawnych, prawdziwych, odziedziczonych po dziesiątkach, może setkach pokoleń na talmudzie wychowanych — powrotu już niema. Tresura staje się też przyzwyczajeniem, potrzebą, też się ją dziedziczy jako postawę instyktową, przez co jednak w istocie swojej nie przestaje być tresurą, to jest postawą nieusprawiedliwioną historycznie, nie związaną z najgłębszemi potrzebami człowieka, słowem instyktem fałszywym. Pajcza tej tresury strzaskała już kręgosłup.

Ale przyjrzyjmy się sobie samym...

Arystokratyzm polski mógłby być czemś bardzo wielkiem. Ma zadatki wspaniałomyślności, gest szeroki i naturalny. Chce siać życie koło siebie, chce rozdawać. U szczytów swoich wyraża najdalej posuniętą dyscyplinę wewnętrzną, jest tym stanem ducha, kiedy niczego się już nie zachowuje dla siebie, nawet tej drogiej myśli o jakiejś wewnętrznej wyższości nad ludźmi, kiedy niema się już żadnych sekretów, nawet sekretu swej nietykalnej jaźni — mieć sekret, coś ukrywać, czegoś nie chcieć pokazać — jest to jeszcze bać się, jest to jeszcze być od czegoś zależnym, jest to jeszcze nie czuć się w czemś panem. Jeśli się szuka argumentów na poparcie tezy o katolickości naszego narodu, nie można chyba znaleźć lepszego, nad ten że zdobyć się potrafiliśmy na tak głęboko katolicki ideał arystokratyzmu. Bo gdzież znaleźć można doskonalsze sharmonizowanie ducha pokory z nieugiętym hartem rzymskim, miękkości i słodyczy serca z najgłębszą, bo milczącą dumą? Nietzscheański patos nadczłowieczeństwa jest parwenjuszostwem w obliczu tego ideału.

Im większa rzecz — tem ohydniejsza jej parodja. Snobizm polski, dostosowany w swych aspiracjach do górnego tonu arystokratyzmu rodzimego, wziął rekord pretensjonalności i samooszukańswa—zakasował swych zagranicznych kolegów.

Tam snob bierze się do rzeczy wesoło, znosi cierpliwie upokorzenia, przepycha się — i w końcu, najczęściej, zwycięża. Usiłuje wmówić innym, że jest czemś więcej, niż jest w istocie, ale on sam, snob, wie dobrze, czem jest i czem być nie chce. W Polsce nie znosi się myśli, że jest się tem właśnie, czem się

jest naprawdę. Na to trzeba o wiele więcej trzeźwości, męstwa, cierpliwości, niż stać Polaka, tego Polaka, którego uczono przez wieki, że jest równy tym, którym nie był równy. Równość szlachecka nie była fikcją całkowitą, niewątpliwie, możnaby wyłuskać z niej jądro prawdy głębokiej, istotnej prawdy. Ale nieproporcjonalność deklamacji egalitarnej w stosunku do rzeczywistości tak zmanjerowała umysły, tak przytępiła zmysł rzeczywistości, że Polak zaczął odczuwać jako rzecz nieprzystojną zdawanie sobie jasno sprawy z zajmowanego miejsca na drabinie społecznej. A że ta drabina miała rzeczywiście mętną artykulację, żadna więc konieczność zewnętrzna nie wytrącała go z tej bałamutnej równowagi. Snob polski nie przyznaje się nigdy do tego, że robi karjerę. Trzeźwo zaczynać i od początku, zdobywać piędź po piędzi — to nie dla niego. Snob polski nietylko innych lecz i siebie samego suggestjonuje własną wielkością, której nie posiada. Fałszowanie dziejów, zadawanie kłamu historji wszędzie spotkać można, ale tylko w Polsce sam fałszujący okazuje pietyzm wobec przez siebie samego sfałszowanej własnej przeszłości. Jest w tem może więcej lenistwa, niż próżności. Powiedzieć sobie: „Zaczynam" i w oparciu o własny kapitał tradycyjny, jakkolwiek byłby ubogi, posuwać się wzwyż — na to trzeba być z krzemienia. Łgać cynicznie, stwarzać koło siebie legendę kpiąc z niej w duchu, i na niej „wyjeżdżać" — to znowu zupełnie nieromantyczne. A snob polski to romantyk — on wybiera coś pośredniego: łże i łgarstwa swoje bierze serjo. Na kanwie tego romantyzmu wyrastają owe legendy o „skonfiskowanych" dobrach i przehulanych majątkach, te niezliczone wyolbrzymienia i przybudówki, przebiegle insynuowane, w godzinach samotności premedytowane, krwią serdeczną pragnienia ogrzane.

Ten nierzetelny, samooszukańczy stosunek do własnej przeszłości, jest istotnym powodem zadziwiającego zjawiska, że w kraju, gdzie, zdawałoby się, kwitnie wyolbrzymiony kult tradycji — taka moc rodzin szlacheckich (pominąwszy wypadki ostatecznej nędzy materjalnej) stoczyła się na najniższy stopień zaniedbania kulturalnego. Nie może dziać się inaczej tam, gdzie w myśleniu panuje dekoracyjność, gdzie otwarte zetknięcie się z rzeczywistością odczuwa się jako nietakt. Dość, by coś przestało być dekoracją — a przestaje istnieć.

Snobizm jest ostatecznie faktem raczej pocieszającym. Świadczy o tem, że poczuwa się jeszcze człowiek do stylu, że chce tworzyć życie stylowe, że zwierzokrzew nie stał się jeszcze powszechnie obowiązującym ideałem. Dopóki ludziom imponuje rasa, wyrazicielka tego, co jest w człowieku stałością, pewnością reakcyj, postawą, dopóki człowiek chce jeszcze wyrabiać w sobie wielkie nałogi ducha — choćby robił to śmiesznie, niezdarnie pozostaje w nim zawsze coś, do czego życie może apelować: wiara, że można urobić siebie na wielką miarę typu życiowego.

Do jakiejkolwiek dziedziny twórczości się zwrócimy — wszędzie to, co nazywamy dobrem, udanem, doskonałem, jest wyrazem opanowania, selekcji, skupienia rozproszonej mnogości szczegółów w najwęższe możliwie ramy. Nie mówi się nigdy wszystkiego — chcieć powiedzieć wszystko, jest to nie wiedzieć, co się chce powiedzieć. Nie wszyscy piszemy, malujemy, komponujemy — ale wszyscy żyjemy. Nie wszystkich obowiązuje dyscyplina artystyczna, techniczna, ale wszystkich dyscyplina życiowa — wszystkich obowiązuje arystokratyzm. Snobizm jest najniezdarniejszym — i najłatwiejszym zarazem rozwiązaniem zagadnienia arystokratyzmu. Dlatego tak wspaniale rozwija się śród zwolenników demokracji: dogadza ich ufności w możności zdobycia wszystkiego mechanicznie, od zewnątrz, bez ofiar i bez wysiłków, zapomocą przesunięć dekoratorskich. Aby z tego rachitycznego potworka, którym jest snobizm — zrobić dobrze funkcjonujący organizm, aby uratować w nim to, co zachował jeszcze z siły i woli — trzeba mu dać jako wychowawcę fizjologa życia społecznego. Dekoratorzy (a oni właśnie organizują akcję ratunkową — kulminacyjnym jej punktem — Żeromski) choćby najpiękniej przemawiający, choćby najprawdziwszym obdarzeni talentem, nic tu nie wskórają, poprostu, bo nie znają zagadnienia, bo znać go nie mogą i nie chcą.

JAN EMIL SKIWSKI

KTO PRZYGOTOWAŁ REWOLUCJĘ 1830 R.?

(Dokończenie)

WYZNACZENIE Wysockiego czy Zaliwskiego na kierowników, a raczej werbowników do akcji powstańczej w r. 1830 było prawdopodobnie tymczasowe i podyktowane jedynie brakiem odpowiedniejszych kandydatów. Większość oficerów nie pragnęła wybuchu powstania, a tych, którzyby go sobie życzyli, musiał odstraszać los Łukasińskiego, Krzyżanowskiego i innych, co drobny nawet udział w dotychczasowych spiskach przypłacili conajmniej więzieniem u Karmelitów. Towarzystwo zmuszone więc było wśród najniższych szarżą oficerów szukać ludzi z odpowiedniemi stosunkami, i tu wybór padł na Wysockiego ze względu na Szkołę i na Zaliwskiego ze względu na pływalnię.

Szkoła Podchorążych była dla spisku bardzo ważną placówką, gdyż stanowiła zbiornik ideowej, zapalnej, a przedewszystkiem niezadowolonej z istniejących stosunków młodzieży. Prócz tego corocznie wychodzili z niej do pułków młodzi oficerowie, mogący rozszerzyć spisek w całej armji. Dlatego z chwilą, gdy Towarzystwu nawinął się pod rękę Wysocki, bądź co bądź instruktor tej Szkoły, skorzystano z jego usług, tembardziej że umysłowość jego gwarantowała zupełną powolność dyrektywom Towarzystwa.

Do werbunku oficerów w pułkach garnizonu warszawskiego użyto innych ludzi. Największem powodzeniem w tej akcji musiał bezwątpienia cieszyć się sam Zaliwski, zarówno dzięki swym rozległym znajomościom, jak również dzięki sprytowi, niezmordowanej ruchliwości, zdolności narzucania się ludziom i kierowania nimi. Szybko zebrał dookoła siebie grupę zwolenników, a gdy raz stanął na ich czele, nienasycona ambicja nie pozwalała mu zejść na podrzędne stanowisko wykonawcy, marzył o kierownictwie rewolucją, o dyktaturze.

Nic więc dziwnego, że dla zrównoważenia wpływów Zaliwskiego i tem łatwiejszego kierowania spiskiem wojskowym, bądź co bądź nie zawsze ulegającym wpływom obywateli z Towarzystwa, utworzono jako władzę naczelną spisku Komitet, złożony z Wysockiego, Zaliwskiego i Urbańskiego. Wysunięcie tej władzy było jednak rzeczą późniejszą, o której wspominam mimochodem, by powrócić do działalności spisku wojskowego. Kierownicy spisku termin przyszłego

powstania wyznaczyli najpierw na marzec 1829 roku, zamierzający wykorzystać zaangażowanie się Rosji w wojnie tureckiej. Termin ten, ustalony tylko na podstawie przewidywań co do rozrostu spisku, został natychmiast skorygowany przez członków Towarzystwa i przełożony na czas zwołania sejmu i koronacji Mikołaja[1]).

Posłowie Trzciński i Zwierkowski zawiadomili Wysockiego o zamierzonej petycji, zaś Gustaw Małachowski, Bernard Potocki, Adam Gurowski i Tytus Działyński wzięli się do opracowania planu zamachu, który miano wykonać podczas parady na placu Saskim. Przygotowano wszystko, porozsyłano emisarjuszy na prowincję, zaopatrzono podchorążych w ostre ładunki — nagle w samą wigilję zamachu odwołano wszystko, ku wielkiemu oburzeniu podchorążych, którzy mieli zamach wykonać. Powodem odwołania zamachu miało być stanowisko posłów, z których tylko 28 podpisało petycję do Mikołaja I. Jak na powód dla ludzi zdecydowanych na rewolucję rzecz zupełnie błaha, zwłaszcza, jeśli się zważy, iż dla rozpoczęcia rewolucji trudno byłoby znaleźć chwilę odpowiedniejszą, niż właśnie moment parady na placu Saskim. Dostawszy bowiem w swą moc Mikołaja, można było Rosji, pozbawionej głowy, dyktować warunki. Dlatego niezrozumiałe jest wahanie członków Towarzystwa, w rok później decydujących się na rewolucję w nierównie gorszych warunkach, o ile nie weźmie się pod uwagę jednej hypotezy, mianowicie—uzależnienia wybuchu polskiej rewolucji od wybuchu rewolucji na Zachodzie.

Rewolucja polska z 20 maja 1829 r. miała wszelkie widoki powodzenia dla Polski, ale dla projektowanej rewolucji we Francji stanowiłaby klęskę. Kwestja polska do wybuchu rewolucji francuskiej byłaby już uregulowana i kto wie, czy w lipcu 1830 roku Mikołaj nie miałby już wolnych rąk. Dlatego też francuscy rewolucjoniści nie mogli się nigdy zgodzić na wcześniejszy wybuch rewolucji polskiej. Rewolucja polska bowiem powinna była w decydującym momencie odciąć Rosję od Zachodu i zatrudnić Mikołaja tak, by nie mógł nawet myśleć o interwencji we Francji. Stąd odkładanie terminów wybuchu przed lipcem 1830, mimo iż wybuch rewolucji polskiej miał poprzednio stanowczo lepsze widoki, stąd gwałtowne przyśpieszanie wybuchu po lipcu, z terminami w odstępie kilku dni po sobie następującemi, stąd wreszcie zgoda tylko na wystąpienie przeciw Rosji, uchwalona na zebraniu Towarzystwa, o którem była mowa poprzednio.

W tych warunkach nieodparcie nasuwa się przypuszczenie, że w historji przygotowywania powstania listopadowego miał miejsce jeden z symptomatów, tak charakterystycznych dla towarzystw tajnych, a mianowicie spiskowcy polscy, szukając kontaktu z rewolucjonistami francuskimi, tak się od nich uzależnili, że tracili z przed oczu cel własnej sprawy. Wprawdzie dziś jeszcze trudno dać namacalne dowody kontaktu polskich rewolucjonistów z francuskimi, pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę na kilka faktów, mogących rzucić interesujący snop światła na ówczesne stosunki francusko-polskie.

Przedewszystkiem szereg Polaków, utrzymujących związki z krajem, bawił w Paryżu, wśród nich wymienić można Leonarda Chodźkę, Morawskiego, Paca, Sowińskego, Mielżyńskiego, Wodzińskiego, dawnego emigranta Mieszkowskiego i innych. Ludzie ci, a zwłaszcza Leonard Chodźko i T. Morawski służyli za pośredników między rewolucyjną Polską a opozycyjną prasą francuską. Leonard Chodźko, dopuszczony do otoczenia Lafayetta, cieszył się jego zaufaniem, a przez niego miał dostęp i do Benjamina Constant, Destulta, de Tracy, generała Foy i Etienne'a, zamieszczającego korespondencje nadsyłane mu potajemnie z Polski. Miarą stosunków Chodźki jest bankiet, urządzony przez niego z okazji rocznicy urodzin Kościuszki dn. 12 lutego 1830; w bankiecie obok Polaków brali udział: Lafayette, Constant, Jullien z „*Rèvue Encyclopedique*", Victor Hugo, Norvins i Dubois z „*Globe*'u". W Polsce stosunkom Chodźki z rewolucjonistami przypisywano duże znaczenie i powszechnie o nich mówiono, skoro wspomina je nawet ów ex-major, a w swoim czasie prowokator Petrykowski, werbując akademików do nowego niby spisku.

Ale stosunki spiskowców polskich z Francją sięgają jeszcze czasów z przed zjawienia się Chodźki na bruku paryskim. Przedewszystkiem stale za pośrednictwem Etienne'a zasilano prasę francuską artykułami o sprawach polskich. Wiemy np., że Łukasiński takie artykuły pisywał, a zdradę Wolnomularstwa Polskiego spowodował właśnie jeden z takich artykułów. Mianowicie Dobrogoyski, chcąc przesłać Etienne'owi jeden z artykułów Cichowskiego, użył do tego Karskiego, który wprawdzie przy pomocy bawiącego w Paryżu członka związku Skórzewskiego doręczył go Etienne'owi, ale też wkrótce potem zdradził wszystko, co wiedział o związku, rosyjskiemu ambasadorowi w Paryżu, Pozzo di Borgo.

Na pierwszy rzut oka może wydawać się, że takie stosunki, mające na celu dostarczanie liberalnej prasie francuskiej artykułów o Polsce, nie są dowodem dostatecznym jakichkolwiek ściślejszych związków między rewolucjonistami polskimi a francuskimi, ale rewolucjoniści z zasady nie zakładają archiwów, ani nie prowadzą pisanych protokułów zebrań. Archiwa rządowe zaś zawierają w sobie tylko raporty szpiegów i protokuły śledcze, podają więc z poczynań rewolucyjnych tylko tyle, ile ujawnili dobrowolnie podsądni rewolucjoniści lub przychwycić zdołali agenci policji. Dlatego też, jeżeli chcemy naprawdę zrozumieć całość roboty spiskowej, musimy śledzić kontakty poszczególnych rewolucjonistów, zdać sobie sprawę z wartości osób reprezentujących te kontakty i wczuć się w psychikę rewolucjonisty. Jeżeli zaś w ten sposób zastanowimy się nad stosunkami rewolucjonistów polskich z fancuskimi, wtedy stanie się jasne, iż chodziło tu o uzgodnienie wybuchu rewolucji, o pomoc wzajemną. Że pomoc tą okazaliśmy my tylko,—nasza wina, a raczej wina tych ludzi, którzy najpierw w chwili wyjątkowo sposobnej oglądali się na Francję, czekając hasła, a następnie chcieli dokonać rewolucji za wszelką cenę, w każdej, najniedogodniejszej chwili, byle wtedy, kiedy wieść o rewolucji lipcowej zelekryzowała cały świat. Że tak było, wynika z rozmowy Mortemarta z Koźmianem, przytoczonej też u Dr. Harbuta[2]). W roz-

---

[1]) Szereg historyków (Barzykowski, Dembowski, Kraushar) przeczy istnieniu spisku koronacyjnego. Sądzę, iż miarodajnym jest tu choćby pamiętnik Wysockiego, w którym Mochnacki nie tai przygotowań niedoszłego przedsięwzięcia, wkładając w usta Zwierkowskiego i Trzcińskiego słowa: „zbliżyła się chwila tak długo oczekiwana podniesienia oręża..." i ... „a jeżeli odpowiedź otrzymamy odmowną, szczególniej w razie aresztowania posłów, natenczas poprzyjcie bronią skargi i zażalenia nasze". Jasne jest, że obaj posłowie dlatego to opowiadali Wysockiemu, aby ten przygotował szczegóły owego poparcia bronią żądań lub nietykalności posłów w czasie koronacji.

[2]) Dr. Harbut rozmowę księcia de Mortemart z A. Koźmianem w Vogelsdorf nazywa rozmową panów X. M. z K. w Ptakowsi. Jest to typowy przykład odkrywania Ameryki w aktach, zdarzający się często ludziom, zabierającym się do studjowania aktów bez zapoznania się z drukowaną literaturą przedmiotu. Rozmowa ksiecia de Mortemart w całej swej osnowie znajduje się u Barzykowskiego (Historja powstania Listopadowego) w tomie II str. 66 - 70, ustęp zaś przytoczony przez dr. Harbuta i przezemnie na stronie 69.

mowie tej Mortemart oświadczył, że Polacy pozwolili się uwieść wysłannikom tajnych towarzystw i przyrzeczeniom generała Lafaytte'a, nie znając zapewne słabości jego stronnictwa.

Wybuch rewolucji lipcowej zastał naszą organizację nieprzygotowaną, ponieważ wykonawca jej, związek wojskowy, z powodu pobytu oficerów w obozie letnim, był nieczynny. Dopiero po powrocie z obozu letniego podjęto gorączkową pracę organizacyjną, w której szczególnie odznaczył się Zaliwski. Potworzono ze związkowych sekcje w pułkach i jednostkach samodzielnych, zwiększono liczbę związkowych, oraz powołano do życia wykonawczą organizację cywilną z pośród młodych ludzi, przeważnie dawnych „Wolnych Polaków". W tym też czasie na czele spisku wojskowego stanął Komitet złożony z Wysockiego, Urbańskiego i Zaliwskiego, o czem mówiliśmy już wyżej. Komitet ten już w połowie września zdecydował się na wywołanie powstania w najbliższej przyszłości, a termin oznaczono najpierw na 10, następnie na 18, a wreszcie na 20 października (termin zbieżny z terminem ustalonym na zebraniu Towarzystwa). Mimo jednak daleko posuniętych przygotowań żaden z terminów nie został dotrzymany z powodu różnicy zdań, wynikłej wśród kierowników, członków Komitetu. Wysocki od 1828 r. prowadzący spisek widział dobrze, iż chwila nie była najodpowiedniejsza do wywołania powstania. Zdawał sobie sprawę, że poprzednio były chwile odpowiedniejsze, a jednak z dołu i z góry pchano go do tego wybuchu, z tem, że widomą głową sprzysiężenia będzie on. Odpowiedzialność wkładana na niego była za wielka, chciał się nią z kimś podzielić, próbował dowiedzieć się o przyszłym rządzie, badał w tym względzie członków Towarzystwa, a nawet z jego propozycji, uczynionej Mochnackiemu, można sądzić, że przemyśliwał nad utworzeniem odpowiedzialnego rządu poza Towarzystwem. Nic więc dziwnego, że zwlekał teraz, wyczekiwał odpowiedniejszej chwili, a nadewszystko, chciał się dowiedzieć, dla kogo pracuje i kto wykorzysta owoce rewolucji.

Zaliwski zato, oczekujący od rewolucji władzy, zaszczytów, a może nawet dyktatury parł do powstania. Szedł w swych zamiarach dalej jeszcze, niż to zamierzali członkowie Towarzystwa. Chciał śmierci Konstantego i szeregu całego generałów, o rząd nie troczczył się, nie dbał o umiarkowanych, — chciał tylko rozpętania rewolucji i spodziewał się, że jej fale wydobędą go na wierzch.

Towarzystwo, widząc rozterki w łonie podwładnego mu spisku, starało się nań oddziaływać przez nasyłanych do Komitetu swoich ludzi, przedewszystkiem Bronikowskiego. Ten godząc obu przywódców i skupiając rozprzęgający się spisek wojskowy wysunął kandydaturę majora Machnickiego, znanego z obrony Zamościa i z procesu Łukasińskiego, dzielnego żołnierza oraz wytrawnego spiskowca, — na przywódcę rewolucji w Warszawie, na którego spadnie cała odpowiedzialność. Machnicki, człowiek energiczny, cieszący się dużem zaufaniem wśród społeczeństwa, byłby ujął silnie spisek wojskowy. Dlatego też kandydatura jego nie natrafiła na opór.

Z drugiej strony jednakże położenie spisku stawało się coraz trudniejsze dzięki sytuacji politycznej. Umiarkowani, grupujący się dokoła ks. Adama Czartoryskiego, dosyć dawno mieli wiadomości o przygotowującym się zamachu, choćby przez Niemcewicza. Z początku spoglądali na spisek pobłażliwie, nie ufając w powodzenie jego zamiarów, ale w miarę rozrostu akcji, szczególnie w momencie, gdy książe Adam zbliżył się do Konstantego, gdy nabrał wiary w walkę Konstantego z cesarzem o mobilizację wojska polskiego, o plany cesarza aneksji nowych ziem polskich, stosunek ten zmienił się, ochłódł, a nawet stał się wręcz wrogim.

Konstanty, w związku z przygotowaniami Rosji do wojny z Zachodem, przewidywał i rozumiał doskonale plany cesarza wojskowej okupacji Królestwa, jego ograniczenia w dziedzinie prawnopaństwowej i zwinięcia wojska, — a obawiając się o swe udzielne stanowisko w Królestwie, postanowił przeciwdziałać tym planom i na sprzymierzeńca w tej walce wybrał sobie ks. Adama. Tym sposobem spodziewał się znaleźć w kraju poparcie w swojej akcji przeciw zamiarom cesarza.

Tymczasem zaszedł fakt, wynikły z gwałtownego rozrostu organizacji spiskowej, a mianowicie zdrada Zagrabińskiego i Kruszelnickiego. Denuncjacje obu czynnych członków spisku uzupełniły i wypukliły urywkowe doniesienia szpiegów o spisku i spowodowały aresztowania akademików. W. Ks. Konstanty stanął wobec dylematu: albo potraktować całą akcję jako spisek i donieść o niej cesarzowi, a tem samem wcisnąć mu w ręce atut dla jaknajszybszej okupacji Królestwa, albo też pokryć wszystko milczeniem. Idąc za radą ks. Adama, który zapewniał go, że cały kraj przyjął z oburzeniem wieść o spisku na jego życie, wybrał drogę pośrednią i domiósł o wszystkiem cesarzowi, rozmyślnie jednak bagatelizując całą sprawę. Kto wie, czy w skrytości ducha, — zapewniony przez ks. Adama, że jemu nic nie grozi, — nie oczekiwał od rewolucji jakiejś korzystnej dlań zmiany w jego stosunku do Mikołaja. Pod wpływem też ks. Adama zaniechał aresztowań ludzi, których nazwiska zostały ujawnione podczas przesłuchania aresztowanych.

Wśród spiskowców aresztowania wywołały popłoch, zdawało się nawet, że cała organizacja się rozleci. Ale gdy represje Konstantego złagodniały, postanowiono jaknajbardziej wykorzystać tę chwilę ulgi. Dn. 19 listopada na zebraniu oficerów związkowych u Urbańskiego postanowiono zwrócić się do Towarzystwa i przedstawić mu sprawę rewolucji i rządu kategorycznie. W rezultacie tej uchwały 21 listopada zeszli się Wysocki, Zaliwski i Bronikowski z Lelewelem w pałacu Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Ani na tem zebraniu ani na następnem dnia 26 listopada Lelewel kategorycznej odpowiedzi nie udzielił, pomimo to wojskowi, mający przed oczyma wspomnienie więzienia u Karmelitów, uchwalili rozpocząć rewolucję 10 grudnia. Do tego czasu spodziewali się, że załatwią sprawę rządu ze Zwierkowskim i Sołtykiem, bawiącymi na prowincji jako emisarjusze.

Tymczasem Konstanty otrzymał z Petersburga odpowiedź Mikołaja w sprawie swego raportu o odkryciu spisku. Odpowiedź ta, wedle Bronikowskiego, miała zawierać nakaz oddania pod sąd wojenny winnych bez oglądania się na konstytucję. Zanim Konstanty zakomunikował ten rozkaz Radzie Administracyjnej, dowiedział się o nim spisek wojskowy, prawdopodobnie gdzieś około 27 listopada. Groźba sądu wojennego podziałała na wszystkich. Nie pytając już nikogo, nie czekając powrotu Zwierkowskiego i Sołtyka sam Komitet zdecydował się rozpocząć rewolucję 29 listopada, to jest w najbliższym dniu, kiedy warty miał objąć 4 p. p. lin. Bez wahania przyjęto przygotowany przez Zaliwskiego plan działań, włączając doń nawet zamach na Konstantego, czemu sprzeciwiał się Wysocki, z największym pośpiechem zaczęto też rozsyłać po oddziałach i kółkach cywilnych agentów. W nawale przygotowań przeoczono szereg szczegółów, które

później miały się zemścić na wykonaniu planu, a najważniejszą sprawę rządu zdano na los przypadku. Jedyny Bronikowski porozumiał się z Machnickim i zapewnił go, że wymagany przez niego szwadron jazdy stanie na czas przed jego kwaterą; nie przygotował jednak konkretnie niczego do zrealizowania tego jedynego w tej chwili naczelnictwa. Wszystko wyglądało na to, że rewolucja zaczęta została tylko dlatego, by oddalić więzienie, grożące zapamiętałym i tak długo niezdecydowanym spiskowcom.

Mimo błędów, zapomnień, uchybień i małoduszności Zaliwskiego rewolucja odniosła pierwszej nocy taktyczne zwycięstwo, przegrała zaś strategicznie, ustępując pola Radzie Administracyjnej, która znów była conajmniej zaskoczona zwycięstwem rewolucji. Dlatego też zupełnie nie była przygotowana do doprowadzenia do końca zaczętego dzieła, do pełnego wykorzystania rewolucji i do stworzenia podstawy dla przyszłych działań wojennych przez pochwycenie Konstantego i rozbrojenie znajdujących się przy nim oddziałów.

Miało tu znowu miejsce zjawisko częste w spiskach, iż władzę posiedli nie ci, którzy się o nią starali, przygotowując spisek. Twórcy spisku i rewolucji dali sobie wydrzeć władzę dzięki nadto długiemu przygotowywaniu rewolucji, które wreszcie zdenerwowało i poniosło ich wykonawców, spisek wojskowy.

Konkluzję z powyższego szkicu streszczam w następujących punktach:

1) Sprzysiężenie Wysockiego było organizacją wykonawczą pewnego ośrodka stałego, zmieniającego swój charakter i nazwę w miarę okoliczności, lecz w gruncie rzeczy niezmiennego, choć przez pozory perjodycznego rozwiązywania się pozbywającego się członków niepożądanych. Tajny ten ośrodek, nazwany przezemnie Towarzystwem, składał się z ludzi, których część ujawniły procesy Łukasińskiego, Krzyżanowskiego, sprawa „Wolnych Polaków" i t. d. i ludzi, którzy dzięki warunkom pozostali do końca ukryci. Ośrodek ten rządził różnemi stowarzyszeniami czy lożami różnego stopnia wtajemniczenia, zakładał coraz to nowe towarzystwa i nowe organizacje, które przeżywały się, lecz stale dostarczały ludzi potrzebnych do decydującego momentu.

2) Ośrodek ten, związawszy się z Francją, uzależnił termin wybuchu powstania od rewolucji we Francji i dzięki temu przepuścił dobre okazje przedtem, a doprowadził do wybuchu w chwili niedogodnej, przez co ocalił Francję przed interwencią Rosji, ale utrudnił walkę Polsce.

3) Winę utraty władzy nad rewolucją przez ów ośrodek ponosi sprzysiężenie Wysockiego, gdyż zdenerwowane zapowiedzianemi aresztowaniami, ratowało się przed niemi nagłym wybuchem rewolucji.

JULJUSZ KOZOLUBSKI

UWAGI O WSPÓŁCZESNEJ POWIEŚCI FRANCUSKIEJ

TRZY, czy też cztery lata temu kilku krytyków francuskich oburzyło się na powieść spółczesną, zarzucając jej dwie rzeczy: przemożne panoszenie się w literaturze i degenerację: powieść, zagarniając coraz to szersze dziedziny tematów—przestaje być sobą.

Pierwszemu zarzutowi umysły bezstronne muszę przyznać słuszność. Powieść w okresie powojennym zdetronizowała wszystkie inne działy literatury. Nakładcy, wyrzekłszy się zupełnie wydawania wierszy, dzieł historycznych, filozoficznych, socjologicznych etc., wypuszczali ostatniemi laty na rynek księgarski przynajmniej trzydzieści utworów powieściowych tygodniowo. Większość tych utworów notabene jest nic, lub mało co warta. Wszystkie nowoutworzone nagrody literackie (których we Francji ufundowano bez liku) przypadły wyłącznie powieściopisarzom. Hałaśliwa reklama napędzała publiczność do przysparzania im zysków. Nakłady ich książek tłoczono w niezmiernych ilościach egzemplarzy, niektórzy zaś wydawcy w biuletynach księgarskich podwajali, potrajali i udziesięciokrotniali cyfry nakładów, wywołując w ten sposób swojego rodzaju inflancję, analogiczną do pieniężnej. Nic dziwnego, że to porządnych ludzi rozdrażniało.

Niesłychane sukcesy autorskie (z których kilka tylko było prawdziwych, reszta zaś — zmyślona) skłoniły do pisania powieści mnóstwo osób, nie mających jako żywo po temu ani zdolności ani przygotowania. Były pomiędzy niemi mierne talenciki, które bez porównania lepiej mogłyby się rozwijać w dziedzinach innych. Powieść zaczęła się wałęsać po rozmaitych drogach. Wdzierała się z jednej strony w sferę filozofji czystej, z drugiej błądziła po manowcach bieżącej kroniki zdarzeń. Starała się zgłębiać i oświetlać (przy pomocy pierwszej lepszej anegdoty) nastręczające się z dnia na dzień zagadnienia polityczne i moralne. W powieści jednem słowem panował taki sam akurat chaos — jak wszędzie indziej.

Krytycy zatem mieli rację stawiając razem oba wymienione zarzuty. Zarzut drugi wypływał bowiem z pierwszego. Ale rola krytyków na tem się kończyła. Widzieli niebezpieczeństwo i przestrzegali przed niem. Nie byli w stanie jednak w owym momencie, gdy niebezpieczeństwo to się ujawniało, ani odkryć jego przyczyn, ani też przewidzieć jego skutków.

Przyczyny? Dzisiaj patrząc na to zjawisko z pewnej perspektywy możemy je łacno dostrzec.

Wojna we wszystkich krajach, szczególnie zaś we Francji przewróciła organizację społeczną do góry nogami. Po zawarciu pokoju okazało się, iż sfery społeczne tak się z sobą pomieszały, że dawniejsze wyrazy, jakiemi się je nazywało, postradały zupełnie znaczenie. Któż czytywał we Francji powieści w tak zwanej epoce przedwojennej? Prawie wyłącznie burżuazja. Nazwą burżuazji obejmowaliśmy przed wojną ludzi już to zamożnych, już też wykształconych. Pomiędzy pierwszymi zdarzało się wprawdzie wielu głupców, mieli oni jednak przeważnie na tyle smaku, aby nie chełpić się ze swojej ignorancji. Wstydzili się jej i troskliwie ją ukrywali. Drudzy — pokończyli szkoły. Chociażby nawet większość wiadomości wywietrzała im z czasem z głowy, to jednak zawsze trochę zostawało. W najgorszym razie pozostawał szacunek dla inteligencji i poczucie piękna. Publiczność ta miała się za elitę społeczeństwa. Część zaś jej była istotnie elitą.

Obok tej pierwszej klasy czytelników istniała druga, bez porównania liczniejsza, rozczytujaca się w powieściach z których niewiele tylko należy do literatury prawdziwej, większość zaś do specjalnego piśmiennictwa, wydawanego w broszurach z kolorowemi okładkami, albo drukowanego w odcinkach brukowych dzienników.

Powieściopisarz przedwojenny ze swej strony również wiedział doskonale do której kategorji czytel-

ników zwraca się w swoich utworach. Zależało to od natury jego talentu. Powieść w owej epoce zajmowała się prawie wyłącznie odmalowywaniem obyczajów. Istniało społeczeństwo wyglądające solidnie, przechodzące ewolucję powolną, opierające się na zasadach ustalonych, posłuszne pewnym stałym regułom postępowania. Powieściopisarz mógł obserwować je wygodnie, ponieważ nie ulegało prawie żadnym zmianom. Okoliczność ta zmuszała go do skupienia uwagi na słabych prądach, które to społeczeństwo bądź co bądź nurtowały. Obserwował przedewszystkiem zdarzenia miłosne. Cudzołóstwo było niemal wyłącznym tematem zarówno dzieł teatralnych, jak i książkowych. Nadużywano go do tego stopnia, że wreszcie publiczność zaczęła mieć tego dobrego powyżej uszu. Pozatem powieściopisarz interesował się conajwyżej życiem t. zw. „towarzystwa" i drobnemi przemianami jakie w tem życiu zachodziły. Doniosłe problematy społeczne, zagrażające ustalonemu porządkowi rzeczy były również od czasu do czasu poruszane, ale bardzo powierzchownie i tylko o tyle, o ile dotyczyły bezpośrednio tej klasy społecznej z pośród której rekrutowali się czytelnicy powieści i pisarze.

Oczywiście były i wyjątki. Taki Barrès, taki Loti, tacy Tharaud'owie (cytuję na chybił trafił) szukali innych tematów dla swoich dzieł i czerpali natchnienie ze źródeł oryginalnych. Wyjątki te jednakowoż potwierdzają tylko regułę. Reguła zaś wyglądała tak, jak powyżej wskazałem.

Wybuchła wojna. Powieściopisarze porzucili pióra, a chwycili karabiny. Czytelnicy odłożyli na bok rozcięte zaledwie do połowy tomy (ostatnie tomy w żółtych okładkach!). I jedni i drudzy ujrzeli na własne oczy rzeczy, o jakich nigdy się im ani śniło, dziwy pomiędzy któremi widoki bitew nie były bynajmniej najciekawsze. Powieściopisarze w ciągu tych posępnych lat nawiązali kontakt z człowiekiem daleko bliższym człowieczeństwa, niż ten z jakim spotykali się zazwyczaj w środowisku swojem dotychczasowem. Uczucia i reakcje tego człowieka ujawniały się wówczas daleko jaskrawiej, niż w poprzednim trybie życia za czasów pokoju. Literat francuski ujrzał na swojej rodzimej ziemi mnóstwo osobników należących do innych ras i innych narodowości. Wojna przybrała rozmiary światowe. Ciekawość pisarza francuskiego wybiegła daleko poza granice jego ojczyzny, ogarnęła całą Europę, a później świat cały. Ważne zagadnienie, rozstrzygane do tej pory w kancelarjach urzędowych i w artykułach nudnych miesięczników — zaczęły się rozstrzygać na ulicy. Zawarto pokój. Literat francuski widział zmartchwychwstanie jednych państw, przekształcenie się innych. Nastąpił szereg przewrotów. Tajemnicza Rosja carów — stała się nie mniej tajemniczą Rosją czerwonego terroru. Wyłoniła się kwestja żydowska. Z czterech stron świata ściągnęli dziwaczni awanturnicy. Europa środkowa raz po raz podlegała paroksyzmom konwulsji. Italja z rąk komunistów przeszła w ręce faszystów: gromada młodych zapaleńców opanowała królestwo. Zagadnienia religijne i rasowe z planu ostatniego zaczęły wysuwać się na pierwszy. Z poza drapaczów nieba (budzących podziw w czytelnikach pism ilustrowanych) wysunęła nos, siedząca spokojnie Ameryka. Każdy stwierdzał, że świat jest źle urządzony, każdy postanawiał go zreformować na własne kopyto. Najsprzeczniejsze doktryny i chimery ścierały się z sobą na arenach opinji publicznej. Żądza użycia rozpierała ludzi znękanych nędzą, przebytą w okopach pod ogniem dział. Rozpierała także paskarzy, którzy za nikczemnie zdobyte pieniądze chcieli kupić wszystkie rozkosze, jakie istnieją. Mężowie stanu, oszołomieni mnóstwem i różnolitością zadań, które na nich spadły, kręcili się jak chrząszcze w ukropie. Świat rozbrzmiewał tysiącem hałasów, krzyków, płaczów, strzałów, dźwięków jazzbandu, płomiennych kazań. Upodobnił się do morza wzburzonego przez dwadzieścia huraganów.

Wyobraźcie sobie literata, któryby w takiej chwili zwrócił się do armji swoich czytelników z następującą przemową:

— Pani X przestała kochać męża. Nieokiełznana namiętność popycha ją w ramiona p. Z. Chcecie, to wam opowiem tę wstrząsającą historję na trzystu stronicach druku. Przeczytajcie ją. Czyż może być coś bardziej interesującego?

Każdy literat—rzecz prosta—musiał pisać o wojnie. Należała ona już wprawdzie do przeszłości, ale była bezpośrednią przyczyną teraźniejszości i teraźniejszość tę tłumaczyła. Była aktualna, a zdawało się że czytelnicy nie zechcą słyszeć o niczem innem, jak tylko o rzeczach aktualnych. Niektórzy jednak chcieli o wojnie zapomnieć. Uciec od aktualności. Spowodowało to potworny zalew Francji przez literaturę zagraniczną, przedewszystkiem przez powieści amerykańskie. Romanse amerykańskie obudziły powszechną ciekawość. Wnosiły coś nowego. Odkryto jednem słowem ponownie Amerykę. Zaczęto produkować powieści awanturnicze. Popierano je. Były one na rękę tym, którym zależało, aby czytelnik francuski, pochłonięty ową lekturą nie zwracał uwagi na rzeczy ważniejsze. Twierdzono, że ta drugorzędna literatura jest lekturą zdrową. Studziła głowy rozpalone.

Tymczasem zawierucha światowa nacichała zwolna. Umysły się uspakajały. Coraz więcej ludzi zaczęło tęsknić za książkami. Nie tworzyli oni już wyraźnej klasy, jak przed wojną. Stanowili poprostu olbrzymi tłum. Powieść typu przedwojennego nie była w stanie absolutnie zadowolić różnolitych jednostek, tworzących ową masę czytelniczą. Powieść musiała się do owej masy dostosować. W formacie, który dotychczas służył wyłącznie do wydawania dzieł literackich, zaczęły się ukazywać bezczelne powieścidła odcinkowe, cokolwiek zaledwie oczyszczone ze względu na szatę zaszczytną, jaką przywdziały. Ostatni mohikanie przetrzebionej falangi przedwojennych czytelników odepchnęli ten rodzaj powieści kopnięciem nogi. Aby się im przypodobać i odzyskać ich względy powieść musiała wrócić do stylu bardziej wyrafinowanego. Forma się polepszyła. Jezyk stał się nanowo elegancki i zrozumiały. Treść, przekroczywszy dawne, przedwojenne granice stała się mieszaniną idei i fikcji.

Powieść wałęsała się po różnych manowcach jak to słusznie stwierdza krytyka. Nie mogło być jednak inaczej. Zwracała się przecież do publiczności tak mieszanej, tak bardzo różnorakiej pod względem poziomu kulturalnego, że oczywiście nie mogła mieć typu jednolitego. Różnolitość rodzajów powieściowych trwa do dnia dzisiejszego, chociaż jest już nieco mniejsza, niż była do niedawna.

Istnieje od czasów wojennych rodzaj powieści pośredniej pomiędzy romansem we właściwem tego słowa znaczeniu, a książkę historyczną, filozoficzną, polityczną lub socjologiczną — rodzaj feljetonowo-kronikarsko - reporterski, który powiadamia czytelnika o problematach aktualnych, dostosowanych do jego poziomu umysłowego i inrormuje go o dawnych czasach, dalekich krajach a nawet pewnych dziedzinach wiedzy w sposób przystępny, zrozumiały i przyjemny. Ten rodzaj powieści cieszy się powodzeniem znacznem

i często zasłużonem. Jest on stanowczo zjawiskiem postępowem.

Powieść coraz bardziej zmienia swój charakter. O ile dawniej starała się przedstawiać czytelnikom rzeczy jaknajlepiej przez nich znane, o tyle obecnie wysila się, aby im objawiać rzeczy nieznane. Powieściopisarz podróżuje z kraju do kraju, z jednej części świata do drugiej, zwiedza jaknajmniej znane sfery społeczne, albo też zagłębia się w tajemne dziedziny psychologji. Jednostką ludzką interesuje się pisarz nie ze względu na jej stosunek do społeczności, lecz samą w sobie, jako taką. Dzieje się tak prawdopodobnie z tego powodu, iż społeczeństwo jest nieustalone, nie posiada elementu trwałości. Społeczeństwo nieustannie się zmienia. W r. 1924 nie jest tem, czem było w r. 1927. Nie może zatem służyć za podstawę dla konstrukcyj powieściopisarskich. Konstrukcje owe powieściopisarze wolą zatem budować bądź to na psychologji jednostki, bądź też wzbijać się w dziedzinę fantazji, bądź cofać się do epok dawnych, bądź wreszcie stylem impresjonistycznym notować efemeryczne wibracje społeczne.

Spółczesna powieść francuska odzwierciadla wszystkie powyżej wymienione tendencje. Proust i Gide odmalowują obyczaje epok minionych—Morand życie środowisk międzynarodowych, Girodoux — tworzy powieści fantastyczne, Carco przedstawia w barwnych obrazach życie apaszów. Stąd pochodzi owa różnolitość rodzajów, jakiej powieść dotychczas nigdy nie posiadała. Różnolitość ta sprowadza jednak powieść z drogi tradycjonalnej, na którą ją wprowadziły genjusze Balzac'a i Flauberta.

GEORGES OUDARD

NIEZNANE POEZJE KASPROWICZA

II. WIERSZE RÓŻNE (Ob. № 8)

POŻEGNANIE

(Z motywów ludowych)

I.

Siwy mój, siwy mój!
Poniesiesz mnie w krwawy bój:
Nie będziemy orać ziemi,
Choć się zielsko w niéj zaplemi,
Siwy mój! siwy mój!
Jeno pójdziem w krwawy bój.

II.

W ziemi téj, w ziemi téj
Tak niemieckie wyją psy,
Że zgłodniałym rzucać trzeba
Och! ostatnią skibę chleba,
W ziemi téj, w ziemi téj
Tak niemieckie wyją psy.

III.

Ale nim — ale nim
Zobaczymy prochu dym,
Pospieszymy we świtanie
Na ostatnie pożegnanie
Jeszcze nim — jeszcze nim
Zobaczymy prochu dym.

IV.

Oto już — oto już
Rozlały się blaski zórz,
Niezadługo, a nad nami
Błyśnie słońce promieniami,
Kiedy już— kiedy już
Rozlały się blaski zórz...

V.

Wielki czas — wielki czas
Za tę górę — za ten las,
Gdzie srebrzysta płynie rzeka,
Tam Kasieńka na mnie czeka!
Wielki czas — wielki czas
Ku téj rzece, za ten las...

VI.

Siwy mój — siwy mój,
Oto chata — oto zdrój,
Oto grzęda macierzanki
I bieluchna twarz kochanki —
Siwy mój — siwy mój
Oto chata — oto zdrój!

VII.

„— Witaj mi — witaj mi,
Skróć tęschnotę mojich dni,
Bo wiedz luby, że bez ciebie
Gasną gwiazdy mi na niebie
Witaj mi — witaj mi
Skróć tęschnotę mojich dni!...

VIII.

Codzień w łzach— codzień w łzach,
Bo w okropnych, czarnych snach
Zdało mi się, że cię ku mnie
Umarłego wiozą w trumnie,
Więc też w łzach—codzień w łzach
Patrząc na to w czarnych snach!"..

IX.

„— Troskę rzuć — troskę rzuć
Och i bliżéj do mnie chódź,
Niech do piersi cię przytulę,
Nim rozszarpią mi ją kule,
Troskę rzuć — troskę rzuć
Och! i bliżéj do mnie chódź.

X.

Jeszcze raz — jeszcze raz
Miłość mą bez plam i skaz
Do różanych ust przesączę,
I na wieki z tobą złączę
Jeszcze raz jeszcze raz
Miłość mą bez plam i skaz!

XI.

Siwy mój — siwy mój
Zaniesie mnie w krwawy bój,
Może Kasiu! tam w oddali
Miecz mnie wroga w grób powali,
Gdy koń mój — siwy mój
Zaniesie mnie w krwawy bój!"

XII.

„—Wtenczas świat—wtenczas świat
Cały dla mnie zwiądł i zbladł,
Już mnie wiosna nie rozpieści,
Umrę z żalu i boleści —
Wtenczas świat—wtenczas świat
Cały dla mie zwiądł i zbladł!

XIII.

Przecież nie! przecież nie!
Wrócą jeszcze słodkie dnie:
Chociaż chmury są nad ziemią,
To w nich gwiazdki złote drzemią —
Przecież nie! przecież nie!
Wrócą jeszcze słodkie dnie!...

XIV.

Ciebie Bóg — ciebie Bóg,
Poprowadzi śród twych dróg:
I choć w gęstéj kul powodzi,
W dwojga piersi nie ugodzi!...
Ciebie Bóg — ciebie Bóg
Poprowadzi śród twych dróg.

XV.

A gdy znów — a gdy znów
Wrócisz, Jaśku! do dom zdrów
To z tych świeżych macierzanek
Upleciemy ślubny wianek,
Kiedy znów — kiedy znów
Wrócisz, Jaśku do dom zdrów!"...

XVI.

Siwy mój — siwy mój
Czas już, czas już w krwawy bój!
Prędzej skończym, prędzej wrócim
I Kasieńki nie zasmucim —
Siwy mój — siwy mój
Czas już czas już w krwawy bój!...

Opole 1. 10. 81.

Błędy druku. Ogłoszone (w nr. 6—8) poezje Kasprowicza niezawsze udało się wydrukować z taką ścisłością, jaką kopji i przypiskom chciał nadać wydawca p. Münnich. Ponieważ jednak jest to publikacja literacka, nie filologiczna, więc nie uzupełniamy tych przeoczeń. Prostujemy ważniejsze błędy. W nr. 6 na str. 88 szp. 2 ust. 2 wiersz 7 winno być karze zam. każe, a w ust. 3 w. 3. zajmuje zam. zapisuje. W nr. 7 str. 108 szp. 1 w. 6 powinno być wyblakły zam. wypukły. W nr. 8 w poezji „O złote słońce" strofa 6 w. 3 winno być młodości za m. miłości.

LIBERUM VETO

Najgroźniejsza choroba narodów.—Dwa fakty.—Panowie i służba.— Za rydwanem. — Amatorowie liberji. — Panujący głos chóru. — Popłoch z samowoli i bezprawia. — Upadek moralny.—Kradzież jako hasło i zwyczaj.

CHOROBĄ, na którą cierpią i od której ginęły, giną i ginąć będą narody, jest bezprawie. W niem mieszczą się wszystkie dolegliwości, wszystkie nadużycia, gwałty, zbrodnie i klęski. Czy ludzie prywatni okradają skarb publiczny, czy organy rządowe wyzyskują swą władzą dla celów osobistych lub partyjnych, czy posłowie sejmowi wyciskają dla siebie korzyści z mandatów i wpływów, czy samozwańcy, przy pomocy wypadkowo zdobytej siły zdejmują ze swej woli wszelkie skrupuły i kiełzna, zawsze będzie to jedna i ta sama choroba narodu — bezprawie. Społeczeństwo żywotne jest tak plastyczne, że potrafi dopasować się do najgorszych warunków stałych i wyciągnąć z nich dla siebie dobro, ale staje się bezwładnem i bezradnem, gdy musi istnieć i działać w warunkach zmiennych, dostrajać swe dążenia i czyny do norm doraźnych, kapryśnych i nieobliczalnych. Oto jest rdzenny ton wszystkich skarg i złorzeczeń naszego czasu. Zwraca on się dziś głównie przeciwko dwum faktom, których nie może zapomnieć sumienie narodu: przeciw jedenastomiesięcznemu więzieniu generałów bez sądu i pozostawieniu bez kary, bez wykrycia napastników posła Zdziechowskiego. Fakty te można otoczyć nieprzeniknionemi zasłonami przed wiadomością współczesnych, ale nawet skorupa ziemi nie zasłoni ich przed wzrokiem historji. P. Piłsudski, aresztowany przez Niemców, powiedział słusznie w swym świeżo przypomnianym proteście, że nawet największy zbrodniarz nie może być pozbawiony prawa obrony i sądu. Ta zasada stanowi również jeden z kardynalnych artykułów naszej kontsytucji; w imię czego i przez kogo może ona być unieważniona? Tylko przez bezprawie.

Coraz bardziej wynurza się z odmętu i coraz wyraźniej zarysowywa się w naszem życiu polityczno-społecznem rzeczywistość, że bezprawie wprowadzane i podtrzymywane bywa nie tyle przez panów rządu, ile przez ich służalców, przez roje pasożytów, obsiadujących grubszą warstwą każdą ludzką siłę, przez tę tłumną czerń biegnącą za każdym zwycięskim rydwanem z wyciągniętemi rękami i pustemi torbami, które chcą napełnić łaską i jałmużną triumfatorów. Oni to tworzą kulty patronów, oni to otaczają ich dymem bałwochwalczych kadzideł, oni odurzają ich haszyszem swych pochlebstw aż do nieprzytomności i podrzucają ich w górę aż do utraty widoku prawdy. Oni przez to wszystko stają się głównymi sprawcami złego. Podczas gdy bóstwa sądzą, że ich czciciele są tylko narządziami ich wszechmocnej woli, sami stają się popychadłami zorganizowanej pod ich imieniem dewocji polityczno-urzędniczej. Ta dewocja, o ile nie naraża się zuchwalstwem swym żywicielom i dosypuje obficie myrry do bałwochwalczych trybularzów, faktycznie rządzi za pomocą intryg, oszczerstw, denuncjacyj i innych środków przewrotnego służalstwa. Jest to skutek nieunikniony. Każda siła samowładcza potrzebuje atmosfery szczerego lub udanego fanatyzmu, w której czerpie wiarę w swą wszechmoc, potrzebuje najemnych usłużników i sofistów, którzy wysławiają, uprawniają i dogmatyzują jej rozkazy i czyny. Najwięcej jest w społeczeństwie nie lekarzów—jak mniemał Stańczyk,— ale lokajów, amatorów liberji, która jest pożądanym mundurem motłochu moralnego. Nie gardzą nią i chętnie się w nią stroją nawet ludzie, którzy się uważają za urodzonych panów, wyciągających swe szyje, ażeby ich małe strusiowe główki sterczały ponad pospólstwem. Gdybyśmy nie mieli smutnych i wstrętnych wspomnień z XVIII w., bylibyśmy zdumieni widokiem naszych arystokratów, paradujących w liberji i farsową karykaturą republikanizmu, jaką przedstawia polska rzeczpospolita. Przyszły historyk naszych czasów, chcący ją umieścić w jakiejś znanej kategorji, będzie miał wielki kłopot z odpowiedzią, jak nazwać ten dziwoląg.

Wszystkie skargi, żale, złorzeczenia, jakie składają się na chór opinji naszego społeczeństwa, zlewają się w jeden głos najmocniejszy — żądanie prawa. Dzięki ostatnim przerzutom i wyrzutom w administracji a nadewszystko dzięki denuncjacjom i oszczerstwom żandarmskiej prasy, wytwarzającej i podniecającej bezprawie, rozszerzył się w świecie urzędniczym popłoch, zachwiał się jego grunt, wstrząsany niespodziankami, niezabezpieczony żadną trwałością stanowisk. W jednym z sejmików powiatowych niedaleko Warszawy — opowiadał mi pewien poważny obywatel—ujawniono wielkie nadużycia pieniężne. Starosta, człowiek uczciwy i niesklonny wcale do ukrywania postępku, przypuszczalnie nie ujawnia go i nie oddaje winnych sądowi z obawy, że między nimi mogą się znaleźć protegowani „sanacji“ którzy wyjdą ze sprawy oczyszczeni a on straci posadę. Podobny strach ujawnia się na wszystkich stanowiskach, wywołując chwiejność postępowania, tolerancję dla wykroczeń i liczenie się z możliwościami, nie mającemi nic wspólnego z prawem. Najrzetelniejszy urzędnik nie jest pewien, że nagle, bez żadnego powodu, nie ukaże się w „tiełochranitielnej“ prasie jakaś napaść strzelców dziennikarskich, która go pozbawi pracy i chleba, że go nie zlinczuje jakiś samosąd, niezależny od ustaw powszechnie obowiązujących.

Siew „smoczych zębów“ nie rozpoczął się u nas dopiero w niepodległej Polsce, bezprawie rozkrzewiło się już bujnie w okresie niewoli. Ale my dziś nie tylko nie tępimy go, ale jeszcze mnożymy własnem ziarnem. Gdy ono rozrasta się na szczytach społeczeństwa, sięga swemi korzeniami do nizin. Społeczeństwo nasze jest obecnie w groźnej mierze zdemoralizowane, zwłaszcza w kierunku nieposzanowania cudzej i publicznej własności. Jako niewolnicy uczyliśmy się od naszych władców łupiestwa, jako wyzwoleńcy widzimy ciągle rabunki, przywłaszczania, wywłaszczania, przewartościowywania, wiarołomstwa, gwałty, bezprawia. Czy ciemna, nieuwrażliwiona moralnie, nawet niekarana surowo za złodziejstwa masa społeczna, mając przed oczyma przykłady bezczelnych i tolerowanych wykroczeń, może nie odczuć zachęty do popełnienia ich? Czy prostak wiejski, dowiadując się, że kradnie urzędnik, poseł, członek sejmiku, zarządu gminy lub dozoru parafjalnego, administrator przedsiębiorstw państwowych, intendent wojskowy lub szpitalny, a nadto słysząc na wiecach, że kradzież jest ideowem hasłem „odrodzenia“, czy on może nie uważać się za upoważnionego do grabieży we wszelkich sposobnościach? Więc też bez skrupułu, jawnie i skrycie, kradnie wszystko z miejsc otwartych i zamkniętych w gospodarstwach wiejskich, kradnie w kościołach, wagonach, tramwajach, sklepach, mieszkaniach, kradnie bydło z obór, konie ze stajni, świnie z chlewów, drób z kurników; zboże z pól, siano z łąk, owoc i warzywa z ogrodów, cenne rzeczy z lokalów, bieliznę ze strychów, pieniądze z rozciętych kieszeni i rozprutych kas. Rozboje, podkopy, włamania, oszustwa są stałym i niezliczonym materjałem kronik naszego życia. Podczas gdy Finlandja, Skandynawja nie znają już zamków, nas nie ubezpieczają najopornijesze. Ażeby tę straszną plagę wytępić, potrzebaby użyć przeciwko niej wielu środków, które naprędce nie

dadzą się wytworzyć. Na jeden wszakże bardzo ważny, bardzo skuteczny pragnę tu zwrócić uwagę. Kazalnica, konfesjonał i inne sposoby wpływu duchowieństwa okazały się potężnemi środkami umoralniania masy społecznej wszędzie, gdzie zostały zastosowane umiejętnie, energicznie i stale. Gdyby księża głosili wciąż nieubłaganą krucjatę przeciwko złodziejom i wogóle przeciwko uczestnikom bezprawia, gdyby ich piętnowali i karali surowo, to straszna rujnująca nas i hańbiąca zaraza ograniczyłaby się do nielicznych wypadków. Tu nie wystarcza nagana z ambony lub pokuta ze spowiedzi, tu potrzebne stałe, nieomijające żadnej sposobności przeciwdziałanie, silny, nieprzerwany nacisk na sumienia stwardniałe w złem i uzuchwalone bezkarnością. Jak niegdyś zakładano z wielkim pożytkiem towarzystwa wstrzemięźliwości, tak obecnie należy organizować towarzystwa uczciwości i walki z bezprawiem. Nic nam nie pomoże ani niepodległość, ani konstytucja, jeżeli to nowe naczynie napełnimy zgniłą i fermentującą cieczą. Bez moralności obywateli niema zdrowego i silnego państwa.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

MAKSYMY B. MINISTRA ZDZIECHOWSKIEGO

W PRZECIWIEŃSTWIE do obozu małej Polski, który nie może mieć programu, ani wyjawiać swych zamiarów, Obóz Wielkiej Polski zaczyna działanie od gruntownych wskazań programowych. Streszczaliśmy w tem miejscu broszurę programową twórcy tego wspaniałego ruchu odrodzenia Polski (nr. 6), potem R. Rybarskiego „Polityka a gospodarstwo" (nr. 8). Obecnie mamy przed sobą program „Polityki finansowej", skreślony przez b. ministra skarbu Jerzego Zdziechowskiego, któremu zawdzięczamy obecne zrównoważenie budżetu i stabilizowanie pieniądza.

Broszura ta napisana jest tak pięknie, że zachęcić może szerokie koła do zaznajomienia się z kwestją gospodarki skarbowej, o której przywykliśmy nie myśleć, jako o czemś, co się samo robi, a obywatela tyczy tylko fiskalnie.

Nie będziemy streszczali wskazań Zdziechowskiego, na to bowiem je wydano, aby każdy miał w ręku i przeczytał. Autor za główne zadanie polityki finansowej stawia, aby przedewszystkiem miała na myśli zwiększenie siły nabywczej obywatela i zdobycie zaufania, które jest podstawą kredytu. Warto zapamiętać dekalog Zdziechowskiego:

1. Powiększanie majątku przez pracę wytwórczą jest cnotą gospodarczą, a nie przestępstwem.
2. Podstawą kredytu państwa jest obrona interesów wierzycieli.
3. Powiększanie bogactwa narodowego, a nie jego rozdrapywanie, jest źródłem dobrobytu ludności.
4. Naruszanie prawa własności jest wywalaniem drzwi dla komunizmu.
5. Kto gospodaruje groszem publicznym, musi publicznie udowodnić, że gospodarował oszczędnie (państwo, samorządy, ubezpieczenia).
6. Nieuczciwość podatkowa jest zdradą interesów narodowych.
7. Majątek obywateli nie jest wełną, przeznaczoną do strzyżenia przez urzędy skarbowe.
8. Nie obywatel jest dla urzędnika, ale urzędnik dla obywatela.
9. Socjalizm nie jest środkiem poprawy ustroju, będącego dziś podstawą rozwoju gospodarstwa narodowego, ale skutecznym sposobem dla jego rozwalania.
10. Kto przemawia głosem demagogji, może zarobić, kto usłucha tego głosu — musi stracić.

Co się tyczy podatków, program Obozu W. P. głosi:

„Tylko kryterjum dobra narodowego może dać polityce podatkowej najwłaściwszą podstawę do działania państwa w roli arbitra między sprzecznemi interesami klas".

„Z systemu podatkowego należy usunąć to wszystko, co ma cele klasowe, a wtedy dojdziemy do lepszego rozkładu ciężaru podatkowego. Jest więcej niż prawdopodobne, że osiągnąć będzie można wówczas bez naruszenia interesów całokształtu gospodarstwa narodowego większe sumy ze źródeł podatkowych".

Na podniesienie zasługuje właśnie ten pogląd gospodarczy na sprawy dobrobytu ludności i państwa. Zdziechowski wysuwa zasadę:

„Rozwój życia gospodarczego jest stokroć większem ubezpieczeniem losu warstw pracujących i stokroć skuteczniejszym sposobem poprawy ich domowego budżetu, niż powinszowania, składane na terenie międzynarodowym Polsce, jako pionierce postępu społecznego. Nietrudno zrozumieć, że w uśmiechu gratulujących mieści się i uśmiech zadowolenia z błędów konkurentów".

Cały program Obozu jest konsekwentnem rozwijaniem poglądu organicznego na życie narodu:

„Spór przeciwstawnych sobie interesów winien być rozstrzygany w imię i w interesie tego, co jest w podobnej walce siłą rzeczy odporniejsze od państwa, bo nie da się zwalczyć ani mocą kapitału, ani zorganizowaną siłą części obywateli, paraliżujących działalność organów państwowych, a więc w imię dobra narodu.

Kryterjum dobra narodu najwierniej i najpewniej prowadzi w polityce finansowej do rozwoju sił finansowych i gospodarczych państwa",

W chwili oddawania zeszytu do druku dowiadujemy się, że wyszedł czwarty zeszyt wskazań programowych Obozu W. P., mianowicie prof. Bohdana Wasiutyńskiego „Praworządność".

Wskazania programowe, wydawane pod kierunkiem R. Dmowskiego, przyczynią się w wysokim stopniu do uporządkowania pojęć w społeczeństwie, zagrożonem anarchją. Dochodzi w nich do głosu myśl narodu, teraz dopiero, po tylu latach rozbicia w niewoli i po fermencie całkowania organizmu, odzyskająca pełnię świadomości dziejowej.

NIEBEZPIECZNE DARY

PRYMAS Rzeczypospolitej ks. arcyb. Hlond oraz kardynał metropolita warszawski ks. arcyb. Kakowski w publicznych oświadczeniach potępili stowarzyszenie „polska Y. M. C. A.", jako „przesiąknięte duchem protestantyzmu" i prowadzące „zgubną akcję" podrywania wiary katolickiej i szerzenia obojętności religijnej wśród młodzieży. Obaj dostojnicy kościelni zaznaczyli przytem wyraźnie, że stanowisko ich wobec Y. M. C. A. nie jest tylko ich poglądem prywatnym, ale oficjalnem stanowiskiem Kościoła, że więc dla katolików polskich jest ono nakazem, wobec którego kończą się wszelkie dyskusje i wątpliwości, pozostaje zaś jedynie — obowiązek posłuszeństwa.

Dla społeczeństwa, przedewszystkiem dla całej polskiej opinji narodowej, to wyraźne wypowiedzenie się Władzy kościelnej w sprawie Y. M. C. A. jest nadzwyczajnie cenne, zwłaszcza skoro się zważy, iż odnosi się ono do instytucji, której działalność, rozpatrywana z narodowego punktu widzenia, wyglądać musi conajmniej niepokojąco i niejasno. U Polaka instynktową już muszą budzić nieufność instytucje, które

organizując Polaków, tak dalece same są u nas importem zagranicznym, że nawet w nazwie swej zachowują obco brzmiący żargon, obce wyrazy lub dziwaczne dla oka i ucha polskiego skróty. Mniejsza jeszcze, póki taki żargon międzynarodowy można widzieć tylko na afiszach teatrzyków, zachwalających jakieś najnowsze produkcje taneczne „Koszutski—*girls*“. Ale kiedy już wychowaniem religijno-moralnem polskiej młodzieży ma zajmować się „polska Y. M. C. A.“, kiedy wybór umysłów i talentów polskich postanawia organizować się w „P. E. N.-Klubie“, wówczas zjawisko staje się istotnie zatrważające i zmusza do zastanowienia. Czyż idąc tą drogą nie zmienilibyśmy wkrótce nazwy państwa: „Rzeczpospolita Polska“ na „*League of Nations*— oddział polski“? A obcej nazwie odpowiada obca forma organizacyjna, obcy obyczaj, obca idea, podbijająca słabsze umysły, którym imponuje wszystko, co „zagraniczne“. Cóż dopiero, gdy — jak to wskazują dzieje działalności Y. M. C. A. — tej propagandzie obcości służą ponadto przysyłane z za Oceanu dolary, gdy samą swą obecnością szerzą ją specjalnie z Ameryki sprowadzani „kierownicy fachowi“ i instruktorzy!

Utalentowany publicysta angielski, E. J. Dillon, w bardzo interesującej broszurze p. t. „Współczesny Meksyk“ tak charakteryzuje działalność stowarzyszeń amerykańskich typu Y. M. C. A.: „Protestantyzm... w swoich napoły religijnych i napoły humanitarnych odmianach stał się potęgą międzynarodową, jak i wiele innych ruchów, które nosiły z początku czysto religijny lub narodowy charakter, a teraz czerpią swoje siły równie dobrze z finansowych, jak i z duchowych źródeł. Wszystkie te organizacje protestanckie mają religijne cele przed sobą... lecz realizacja tych ideałów, a nawet samo dążenie do nich nie da się uskutecznić bez pomocy drugorzędnych elementów, wywołujących pewne skutki przypadkowe, i które, nie mając charakteru religijnego, posiadają wyraźną tendencję do wynarodawiania ludzi... Protestantyzm w swej najnowszej formie, rozporządzający wielkiemi kapitałami, wyekwipowany w najdoskonalszą broń, używający na wielką skalę propagandy, złączył się — można nawet powiedzieć — utożsamił się z amerykanizmem... Za każdym razem, gdy taki duchowny, pochodzący ze Stanów Zjednoczonych, wykłada Ewangelję swoim zamerykanizowanym systemem, słuchacze jego widzą przed sobą nietylko wyznawcę jednej religijnej sekty, ale także propagatora pewnej polityczno-społecznej doktryny. Podobną rolę, jak ci profesjonalni duchowni, odgrywają wszyscy członkowie tych dobroczynnych towarzystw, które budują pałacowe rezydencje dla biednych, zakładają czytelnie i sale gier i zabaw dla młodzieży we wszystkich krajach starego i nowego kontynentu“.

Że „tendencja do wynarodawiania ludzi“ przejawiała się już u nas w działalności Y.M.C.A. w sposób bardzo wyraźny, tego dowodem namiętna propaganda antynarodowa w wydawanym w swoim czasie przez Y. M. C. A. miesięcznika dla młodzieży polskiej p. t. „Czyn“. Warto przypomnieć, jak bezceremonjalnie „Czyn“, drukowany za pieniądze amerykańskie, przypisywał sobie prawo ferowania wyroków w najdrażliwszych dla sumienia polskiego sprawach. Jasne jest zresztą, że chcąc w Polsce przygotować grunt pod zasiew „nowych idej“ z protestanckiej Ameryki, trzeba zeń przedewszystkiem starać się wykarczować to wszystko, co w ciągu wieków wyrosło na nim pod działaniem odmiennej zupełnie, rzymsko - katolickiej kultury.

O tem właśnie nie myślano u nas dostatecznie, w naiwnem a leniwem przeświadczeniu, że ktoś obcy, bez żadnej racji po temu, wykona za nas pracę, która jest naszym obowiązkiem, nie jego, pracę wychowywania i popierania rozwoju fizycznego i moralnego polskiej młodzieży. *Facit cui prodest.* Gdy ktoś obcy, mając wiele nędzy do wspomożenia we własnym kraju, przeprawia się za ocean, już nie z chlebem dla głodnych, ale z nauką gry w piłkę, czytelniami i t. p., to musi mieć w tem jakiś cel polityczny, handlowy, lub — jak w przypadku Y. M. C. A. — religijno-propagandowy na widoku. Nie możemy uważać się za dziecko wśród narodów, którem inni mają obowiązek się opiekować, dając mu... książki do czytania, zabawki i czekoladę.

Za korzyści materjalne, dostarczane społeczeństwu przez Y. M. C. A., wystawiane są suto obliczone rachunki w dziedzinie dóbr moralnych, któremi musielibyśmy płacić, a często bardzo, nie zdając sobie nawet z tego dostatecznie sprawy, już płacimy. Szczęśliwie się stało, iż na ten fakt zwróciły uwagę oświadczenia najwyższych dostojników Kościoła w Polsce, wskazujące na religijne i narodowe niebezpieczeństwa, jakiemi ten stan rzeczy zagraża.

R.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Sfery decydujące... niezdecydowane — Istotna „zdobycz rewolucji“ — Obóz Wielkiej Polski — O potrzebie idei i praworządności — Młodzi.

W ŻYCIU politycznem zastój: „energja rewolucyjna“ rządu „przewrotu“ w dalszym ciągu wyładowuje się wyłącznie w t. zw. „zmianach personalnych“ (niemal codziennie znaleźć można w prasie wiadomość, że jakiś podpułkownik lub major „przydzielony“ został do jakiegoś ministerstwa), natomiast w sprawie jakichkolwiek istotnych reform, których potrzebę tak wyraźnie odczuwa opinja publiczna, przedewszystkiem w sprawie reformy ustroju oraz naprawy ordynacji wyborczej, „sfery decydujące“ w dalszym ciągu nie mogą się na nic... zdecydować. Jedyną zmianą w obowiązującem dzisiaj prawodawstwie, nad którą — według doniesień dzienników — bardzo poważnie zastanawiają się obecnie w kołach rządowych, ma być... zmiana ustawy o obowiązkowym spoczynku niedzielnym, umożliwiająca kilkugodzinny handel w niedzielę, o co, jak wiadomo, Żydzi ubiegali się oddawna i dotąd bezskutecznie. Byłaby to więc istotna i cenna „zdobycz rewolucji“ dla sfer, które „przewrotowi“ tak wyraźną okazały pomoc i sympatję.

Trudno także powziąć kołom rządowym decyzję w sprawie projektowanej pożyczki amerykańskiej, jeśli bowiem da się wywnioskować z bardzo niejasnych i ułamkowych informacyj w prasie, warunki, na jakich „pożyczka stabilizacyjna“ jest nam proponowana, nie są wcale łatwe ani przyjemne. Dość przytoczyć, iż mówi się o ustanowieniu amerykańskiego „obserwatora“ przy wykonywaniu opracowanego przez rząd polski planu stabilizacyjnego. Przytem pożyczka ma być przeznaczona wyłącznie na ustabilizowanie waluty i może być tylko „zapowiedzią“ przyszłej pożyczki na cele gospodarcze, o którą głównie chodzi.

W tych warunkach, pośród powszechnego wyjałowienia, braku jakiejkolwiek myśli głębszej, braku programu, jedynym ośrodkiem twórczym, żywotnym, okazuje się coraz wyraźniej Obóz Wielkiej Polski.

Praca organizacyjna i organizująca Obozu staje się coraz żywsza: w ciągu dwuch tygodni odbyły się dwa zjazdy dzielnicowe, w Warszawie i w Bydgoszczy. Na obu zjazdach obecny był przewodniczący Wielkiej Rady, Roman Dmowski, a w przemówieniach, jakie wygłosił, znakomicie ujął i wyraził ducha organizacji, jej zasady kierownicze i metody działania. Na zjeździe warszawskim (27/III r. b.) przemawiał Dmowski na temat, często w „Myśli Narodowej" poruszany: „O potrzebie idei". Wskazał, iż główną przyczyną panoszącej się dziś u nas bezideowości jest fakt, że w dziedzinie twórczości umysłowej przywykliśmy żyć importem z zagranicy, zaś Europa zachodnia przeżywa dziś głęboki kryzys cywilizacyjny i nie jest zdolna do tworzenia idej istotnie wielkich i trwałych. „Pustka ideowa — mówił Dmowski — pociąga za sobą o wiele donioślejsze skutki, niż to się naogół może zdawać. Człowiek, któremu przyświeca jakiś wyższy cel, cel nieosobisty, który pozostaje pod panowaniem jakiejś potężnej idei, jest przedewszystkiem zmuszony do wysiłku myśli, do pracy nad należytem zrozumieniem tej idei, nad jej pogłębieniem... Większe jeszcze znaczenie ma panowanie idei pod względem moralnym. Człowiek zwrócony ku wielkiemu celowi nieosobistemu, znajduje w tem szczęście i szuka go o wiele mniej w zadowoleniu interesów osobistych i niższych sposobów użycia. Bezideowość jest główną przyczyną tego, że dziś widzimy tak powszechną żądzę użycia, takie brutalne i zarazem takie nieestetyczne jego formy, w życiu zaś publicznem, w polityce stwierdzamy tak często, jako jedyny motyw działania, ambicję osobistą, żądzę władzy, a raczej nie tyle władzy, ale zaszczytów, chęć wywyższenia się, wreszcie szukanie ordynarnego zysku materjalnego, wchodzące nawet w konflikt z prawem".

Na zjeździe bydgoskim (3/IV b. r.) mówił Dmowski o znaczeniu praworządności. Stwierdził, iż „oparcie naszego ustroju na zdrowych i silnych podstawach prawnych jest jednym z najgłówniejszych warunków... osiągnięcia stanowiska wielkiego narodu i stworzenia silnego, wielkiego naprawdę państwa". Ale „praworządność państwa zależy przedewszystkiem od poczucia prawa w społeczeństwie". To poczucie słabsze jest we wschodnich dzielnicach Polski, niż w zachodnich, stąd też wynika szczególnie wielka rola ziem zachodnich, „rola najsilniejszego węzła, łączącego nas z cywilizacją zachodnią i przez to zapewniejącego Polsce przyszłość państwa europejskiego, państwa opartego na prawie, a tem samem silnego".

W obu przemówieniach Roman Dmowski stwierdził z naciskiem, że hasła Obozu najżywiej odczuwane są i przyjmowane przez młode pokolenie, że „wszystko co młodsze, co moralnie świeższe" staje pod sztandarem nacjonalizmu. Prawdę tę potwierdził ostatnio niezwykle liczny zjazd młodych Obozu Wielkiej Polski, dzielnicy lwowskiej (dn. 8.IV r. b.), gdzie przewodniczący obradom dr. Zdzisław Stahl, znakomicie scharakteryzował psychikę nowego pokolenia, pokolenia wojennego „które dojrzewało w czasie wielkich wysiłów ludzkich, kiedy poświęcano cele doraźne, szczęście osobiste i życie własne — dalszym, większym celom" i które dlatego właśnie szczególnie jasno rozumie prawdę i wartość moralną idej Obozu i pragnie im służyć. Wkrótce takie same zjazdy młodych, jak we Lwowie, odbędą się niewątpliwie i w innych dzielnicach. Małość, marność dzisiejszego układu stosunków musi w młodem pokoleniu wywoływać reakcję, która wzrastając ciągle zmiecie nareszcie zło, jakie się dziś bezkarnie i bezczelnie panoszy. Niedługo już, mimo pozorów triumfu, jego panowania. Słusznie mówił Dmowski: „Trupy młodzieży nie poprowadzą".

J. R.

NAUKA I LITERATURA

NOWE DZIEŁO R. RYBARSKIEGO

ZAPÓŹNIA się w rozwoju umysłowym, kto nie zdaje sobie sprawy z przewrotu ideowego, dokonywującego się obecnie w świecie cywilizowanym. Na całym obszarze zagadnień społecznych życie przeprowadza rewizję rozwielmożnionych w XIX wieku dążeń społecznych, narzuconych przez doktrynę a schlebiających słabości nutury ludzkiej. Reakcja, która po doświadczeniach wielkiej wojny następuje, jest zwrotem przeciwko mechanistycznemu pojmowaniu życia na rzecz jego organiczności. Powraca na swoje miejsce rządząca zasada narodu.

W tej wielkiej pracy rewizjonistycznej wzięła udział myśl naukowa. Obudziły ją prądy publicystyczne, sygnalizujące ducha czasu i urabiające przewodni ideał. Równolegle z praktyką życia, która w dziedzinie politycznej wyłania potężny ruch, kształtujący się w Obozie Wielkiej Polski, pojawiają się takie dzieła w piśmiennictwie, jak „Naród, jednostka i klasa" prof. Romana Rybarskiego (Warszawa 1927, Gebeth. i Wolff, str. 276).

Prof. Rybarski przeorał — można powiedzieć — całe stulecie myśli filozoficznej i politycznej, zaprzęgając do tej roboty krytycznej rozległą wiedzę. Przeorywka głęboka, umożliwiająca dalszą pracę siewcom myśli, dostosowanej do warunków nowego okresu dziejów. Od sztucznej uprawy życia wracamy napowrót do gospodarki, na pierwiastkach przyrodzonych narodu opartej. Zapachniało w powietrzu po wiosennemu — ziemią.

Zaczyna się ta krytyka od prostego pozornie, ale zasadniczego pytania: czy społeczeństwo jest zwykłą sumą jednostek (według spisu ludności), czy też postacią organiczną ciała zbiorowego? A stąd drugie pytanie: czy dążąc do zapewnienia ludziom szczęśliwości, mamy robić wysiłki „detaliczne" z myślą o doraźnem uszczęśliwieniu każdej jednostki (względnie klasy), czy też myśleć przedewszystkiem o zasadach, jakby całość prosperowała, aby jednostkom było dobrze? Jeden z tych sposobów myślenia jest mechanistyczny, drugi — organiczny.

Pogląd organiczny na całość społeczną doprowadza do myślenia t. zw. narodowego; zamkniętą bowiem orniczną całością społeczną, mającą swoją duchowość, poczucie swojej osobistości obecnej, przeszłej i przyszłej, — jest naród. Jest to pogląd konserwatywny, oparty na tem, co umysłowi narzuciło się z instynktu, pogląd odpowiadający poczuciu mas narodowych i faktycznemu stanowi cywilizacji, która powstała ewolucyjnie w drodze historycznej.

Pogląd drugi jest mechanistyczny, bo opiera życie na jednostce, dowolnie się organizującej i podporządkowującej cele zbiorowości swoim celom. Oparty jest na zasadzie (Rousseau'a) wolności jednostki. Dla tego nazywa się poglądem liberalnym, odpowiada zaś naturalnej skłonności natury ludzkiej do uchylania się od wszelkich więzów. Teorja wolności tę skłonność wzmacnia. Doktryny rewolucyjne XIX wieku zrobiły wszystko co można, aby zabić instynkty organiczne, rozluźniając konserwatywne nałogi i kult narodu. To, co w XVIII wieku rodziło się romantycznie w głowach filozofów, Rewolucja Francuska wprowadziła w życie w postaci zasadniczych praw człowieka: wolność, równość i braterstwo, a wiek XIX praktyką socjalizmu rozpowszechnił w masach.

Obecny kryzys w świecie cywilizowanym tutaj ma swoje źródło. Zrobiła to kierująca cywilizacją inteligencja, pomylona w filozofji swojej tendencjami pewnych grup panujących w wieku XIX. „Całe duchowe przesilenie — powiada Rybarski — sprowadza się do tego, że wiek XIX odziedziczył po wieku XVIII szereg idei, które miały

większą moc negatywną, niszczącą, aniżeli twórczą. Dzisiaj już niepodobna budować na tych ideałach" (7).

Analizie kryzysu tych idej w naszych czasach prof. Rybarski poświęcił szereg znakomicie opracowanych rozdziałów: rozstrząsa w nich źródła naszego pesymizmu, tropiąc wszędzie wpływ owych idej XVIII wieku; ocenia skutki przesadnej wiary we wszechmoc nauki, wreszcie poddaje nieubłaganej krytyce doktrynę praw jednostki. Rozdział trzeci rozpada się na trzy części. W pierwszej z nich autor rozprawia się z egzaltacją uroszczeń jednostki, które przeniknęły do podstaw życia politycznego; w drugiej przedstawia, jak wygląda wolność gospodarcza i ideał liberalizmu, w trzeciej zaś — jak na tem wyszła moralność prywatna. Następują potem kapitalne porachunki z ideą ludzkości i solidaryzmu, oraz z ideą walki klas.

Przechodząc od krytyki do konstrukcji ideału społecznego nowoczesnego, Rybarski w szeregu rozdziałów z niepospolitym darem przekonywania, posługując się całym aparatem dowodów naukowych, uzasadnia, że „kto chce przywrócić zachwianą równowagę społeczną i wzmocnić węzły, które łączą społeczeństwo, może budować tylko na fundamencie narodu" (143). Autor daje w swem dziele pierwszy systematyczny wykład na czem polega myśl narodowa w życiu gospodarczem, etycznem i państwowem. Rozdziały: czem jest naród, co to są wartości narodowe, na czem polega idea walki narodów i etyki narodowej, jaka jest rola przeszłości i przyszłości w życiu narodu, jaki jest stosunek narodu do państwa, jaki ma być charakter polityki narodowej i co to jest charakter w polityce — kładą podwaliny pod system naukowy nacjonalizmu polskiego w polityce.

Praca prof. Rybarskiego ma w naszej dotychczasowej literaturze, poświęconej ideom społecznym, tę wielką wartość, że zestawia wywody swoje ze zdobyczami myśli krytycznej pisarzy obcych i doskonale je harmonizuje z niemi, wykazując na każdym kroku, że polska myśl narodowa, nie dała się wyprzedzić w postępie cywilizacjom zachodnim. Rybarski potrafił połączyć erudycję z wymaganiami wykładu popularnego. Książka jego przeto ma wartość i naukową i kulturalną w znaczeniu wychowawczem. W piśmiennictwie polskim trwałe zajmie miejsce.

Zagadnienia w niej poruszone, dotyczące istoty życia zbiorowego, uległy zaniedbaniu w literaturze. Niema takiej dziedziny wiedzy, którąby do niedawna przez literatów, a nawet polityków traktowana była z równą pogardą, jak nauka o narodzie. Gdyby nasz powieściopisarz, dramaturg, czy poeta tak był zaniedbany w zakresie elementarnych pojęć na punkcie przyrodoznawstwa, fizyki, psychologji, jak w dziedzinie poznawania praw socjologicznych i moralnych życia zbiorowego, to nazwiska ich nie schodziłyby ze szpalt pism humorystycznych. Rzec można, że dowolność, a nawet frywolność poglądów na te prawa życia należały w literaturze ostatnich lat dziesiątków do dobrego tonu. Obowiązywał w tych rzeczach raczej nastrój, niż pogląd. Literaci, nawet wybitni twórcy albo stronili od wypowiadania się w tych sprawach, stanowiących przecież tło i źródło życia duchowego, albo chełpili się tem, że nie mają w tej materji swego poglądu. Rozgrzeszał ich ogólny chaos w pojęciach a odstraszało wulgarne polityczne traktowanie tych zagadnień przez „partyjników". Czasy się zmieniają. Propaganda idej internacjonalnych i radykalnych społecznie straciła zupełnie na uroku po wojnie, która nauczyła szukać prawdy i tej się nie wstydzić. Odżyło życie narodowe; rozumienie go i odczucie nawet poetyckie stało się potrzebą umysłów. Tylko w bardzo nieprzewiewnych zaułkach myśli idee liberalne XVIII wieku mogą uchodzić za postępowe. Świeżością postępu tchną idee narodowe, walczące z obskurantyzmem przesądów o wyższości praw jednostki nad prawem idei narodowej.

Dzieło prof. Rybarskiego wprowadza do umysłowości sfer oświeconych nowy prąd życia.

Z. W.

BALMONT O WYSPIAŃSKIM

W Rosji przedwojennej pisano wiele o Wyspiańskim. A. Jacimirskij, profesor uniwersytetu petersbuskiego poświęcił w swem dwutomowem dziele „*Nowiejszaja polskaja literatura*" obszerny rozdział twórczości autora „Wesela", prócz tego można jeszcze wyliczyć szereg rozpraw i artykułów, odnoszących do Wyspiańskiego. Mniejszą jednak uwagę zwrócono na sprawę przekładu jego utworów, skoro przetłumaczono tylko „Warszawiankę" i „Sędziów". W ostatnich dopiero czasach zajął się specjalnie twórczością Wyspiańskiego Konstanty Balmont. Ten największy poeta współczesnej Rosji, przebywający od czasów przewrotu bolszewickiego na emigracji we Francji, jest wybitnym znawcą i tłumaczem naszej literatury (Mickiewicz, Słowaki, Kasprowicz), o czem pisaliśmy już szczegółowo w artykule „Balmont o Polsce".

W szkicu „Myśli Słowackiego" (w książce „Gdzie mój dom") widzi Balmont w Wyspiańskim i Kasprowiczu dwa największe talenty poetyckie współczesnej Polski, a w niezmiernie pięknem wspomnieniu pośmiertnem o twórcy „Hymnów" (w emigracyjnym dzienniku rosyjskim „*Poslednija nowosti*" daje takie porównanie obu poetów: „Wyspiański i Kasprowicz — to dwa szczyty poezji polskiej przy końcu XIX i z początkiem XX wieku. Pierwszy — to dramatyczny Elbrus, drugi—liryczny Czatyrdach. Jak szczyty gór wskazują nam wyraźnie wysokość całego pasma, tak imiona narodowych genjuszów, opromienione sławą, mówią o skupionej w nich mocy twórczej narodowego ducha w danej epoce".

W liście do mnie (z listopada ub. r.) pisze Balmont o wielkiem wrażentu, jakie wywarło na nim przedstawienie „Wesela" przez grupę polską na wiosnę 1917 r. w miejscowości wanowo-Wozniesienskoje w gub. włodzimierskiej. „Grupa Polaków odegrała doskonale siłami amatorskiemi „Wesele". Byłem niezmiernie zachwycony tym narodowym utworem dramatycznym, który czytałem już przedtem". Następnie poeta wspomina o wielkiej wartości i pięknościach „Warszawianki", „Nocy Listopadowej", „Kazimierza Wielkiego", a twórcę ich nazywa genjuszem, który umiał poruszyć głęboko sumienie i serce pokolenia. Balmont zamierza przełożyć na język rosyjski szereg dramatów Wyspiańskiego—obecnie zaś pracuje nad tłumaczeniem „Wesela" i pisze obszerniejszą rozprawę z racji dwudziestej rocznicy śmierci naszego poety.

Częstochowa STANISŁAW PAZURKIEWICZ

WSTĘP DO HISTORJI SŁOWIAN

W nowoczesnej literaturze, poświęconej przeszłości Słowian, daje się spostrzegać dążność do rozszerzania zakresu badań w celu wyzyskania wszelkich sprawdzianów, dających pewność, że się ma grunt pod nogami. Zwierzęta hodowane w różnych krajach; wszelkie objawy kultury, do zabawek dziecinnych łącznie, stanowią dla dzisiejszego historyka równie ważny dokument historyczny, jak dla dziejopisów dawnego typu — kroniki lub akty państwowe.

Mamy przed sobą poważne dzieło prof. uniw. lwowskiego Jana Czekanowskiego „Wstęp do historji Słowian" (Lwów 1927, K. S. Jakubowski). Autora, jako antropologa, interesuje przedewszystkiem człowiek jako typ fizyczny. Stosunkowo mniej poświęca uwagi badaniu wytworów kulturowych. W omawianej pracy występuje energicznie z żądaniem zastosowania w życiu realnem doświadczeń wiedzy antopologicznej i przytacza ciekawy rachunek strat, jakie ponosimy w życiu państwowem wskutek zaniedbań w tym kierunku. Autor uważa Słowian za przedstawicieli t. zw. „kultury łużyckiej", której ośrodek ekspansji stanowią ziemie polskie. Dowodzi, że Słowianie narówni z innemi indoeuropejskiemi ludami siedzą w Europie conajmniej od 1400 roku przed Chr. Interesujace jest ukazanie łączności między wpływami kultury rzymskiej, idącemi drogą bursztynową od Adrjatyku po Bałtyk, — a ekspansją późniejszą katolicyzmu i jego utrwaleniem się w krajach, które przecina ów szlak handlowy.

W rozważaniach swych autor sięga aż do ostatnich czasów. Omawiając np. kwestję niemieckiego „*Drang nach Osten*" stwierdza, że parcie to nie jest jakąś siłą fatalną, lecz przeciwnie zależne jest od każdorazowego układu stosunków. Moment obecny ma przypadać na taki właśnie ich układ, że nietylko hamowany jest napór germański, ale nawet Słowianom, a Polakom przedewszystkiem, daje możność skutecznej reakcji. Porównywając zaś charakter podboju przez Germanów ziem słowiańskich i krajów południa Niemiec, zaludnionych ongi przez Celtów, stwierdza

nieporównanie wyższą odporność ludów słowiańskich. Wypada np. z obliczeń, że straty terytorjum słowiańskiego wynoszą przeciętnie 150 klm. gdy na pograniczu celtycko-germańskiem wynoszą one klm. 700.

Rozważania te są nowe i cenne w dorobku nowoczesnej myśli polskiej. Nieprzemyślenie należyte, brak ścisłych i syntetycznych opracowań zagadnienia ekspansji Polski i ludów ją otaczających — odbijają się głębiej, niż można przypuszczać, na całej naszej strukturze duchowej. Dlatego musimy być wdzięczni autorowi, że dał tym roztrząsaniom początek.

S. N.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W zeszycie niniejszym zamieszczamy artykuł, specjalnie dla „Myśli Narodowej" napisany przez jednego z najznakomitszych dzisiaj pisarzy francuskich, Jerzego Oudard'a. Przypominamy, że w nr. 4 z r. b. daliśmy obszerną wiadomość o słynnym autorze „*Ma jeunesse*" pióra pani Ireny Briares.

*

Nagrodę literacką fundacji miasta Łodzi w kwocie 10.000 zł. przyznano nestorowi piśmiennictwa polskiego Aleksandrowi Swiętochowskiemu. Do Sądu konkursowego, obradującego pod przewodnictwem prezydenta miasta Cynarskiego należeli jako sędziowie literaccy: profesorowie uniw. Chrzanowski T. Grabowski, Ujejski, Kallenbach, z krytyków literackich Grzymała-Siedlecki i Kołaczkowski, z poetów Miłaszewski. Głosowano ostatecznie między więtochowskim a Berentem. Opinja powszechna przyjęła wyrok sądu z wysokiem zadowoleniem. Społeczeństwo polskie byłoby bardzo dotknięte w swojem poczuciu hierarchji, gdyby pierwsze nagrody literackie w wolnej Polsce nie uwzględniły przedewszystkiem zasług najstarszego pokolenia.

„Myśl Narodowa" jest dumna z tego, że do grona swych stałych współpracowników zalicza tego, komu pprzedstawiciele krytyki i historji literatury pierwsze miejsce w piśmiennictwie współczesnem wyznaczyli.

W nr. 4 z r. b. „Myśli Narodowej" motywowaliśmy pokrótce zasługi pisarskie laureata.

*

Nagroda literacka miasta Warszawy, wynosząca 15.000 zł., przypadła Wacławowi Sieroszewskiemu.

Do sądu konkursowego należą z literatury: Leopold Staff, Boy-Żeleński, Kaden Bandrowski, Wł. Perzyński, prof. Ujejski, Emil Breiter, Zygm. Wasilewski. Pozatem wchodzą przedstawiciele Rady miejskiej St. Libicki i Kosiński.

*

Do Warszawy przybywa 28 kwietnia słynny pisarz angielski Chesterton. Zabawi w Polsce kilka tygodni.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Emil Zegadłowicz wydaje dzieła w tak szybkiem tempie, że nadążyć trudno z ich rejestrowaniem. Po dwu tomach „Fausta" i wielkim tomie „Domu jałowcowego" wydał jeszcze większy tom ballad pt. „Dziewanny" (u Mortkowicza), a teraz w księgarni św. Wojciecha okazałą powieść (str. 378) „Godzina przed jutrznią. Żywot Mikołaja Srebrempisanego". Nowy ten i bardzo dogodny dla poety rodzaj powieści znajdźie niewątpliwie naśladowców. Istny skarbiec obserwacyj przyrody i człowieka na tle Beskidów, rezerwoar świeżego dla literatury powietrza.

*

Nakładem księgarni F. Hoesicka wyszedł w bardzo ładnej edycji zbiór utworów poetyckich wierszem i prozą Stefana Godlewskiego p. t. „Grabinka". Książkę młodego poety zaliczyć należy do niepospolitych zjawisk literackich ze względu na doskonałą formę artystyczną i oryginalność. Niebawem damy o niej obszerniejsze sprawozdanie.

*

Poseł na Sejm z okręgu suwalskiego, mec. Zygmunt Kadłubowski ogłosił pożyteczną broszurę p. t. „Przestancie się kłócić." Przedstawiając w niej w popu arny sposób zła skutki obecnego rozproszkowania partyjnego stwierdza, iż jednym ratunkiem jest zorganizowanie wszystkich żywiołów patrjotycznych w Obozie Wielkiej Polski.

*

(S. C.) Jako nadbitka z roczników XXII i XXIII „Pamiętnika Literackiego" ukazały się listy Cyprjana Norwida do A. Cieszkowskiego (15) i do Z. Krasińskiego (1), oraz wspólnie do nich obydwóch (2), z nader subtelnym i przenikliwym wstępem, a także przypisami pióra prof. J. Ujejskiego, opartemi nieraz na bardzo żmudnych i drobiazgowych poszukiwaniach. Listy te, obejmujące okres czasu od r. 1850 do r. 1878, przynoszą cały szereg niezmiernie ciekawych szczegółów do życiorysu Norwida (np. o jego niedoszłem małżeństwie z niewiadomą osobą, o powodach aresztu w Berlinie w r. 1846 i t. d.) oraz jak zawsze mnóstwo lapidarnych i typowych Norwidowych sądów i określeń.

U SŁOWIAN

Cenne wydawnictwo paryskie, miesięcznik „*Le Monde Slave*" rozpoczęło czwarty rok istnienia. № 1 z r. b. zawiera: W głównej kwaterze rosyjskiej (Gen. Janin) — Jugosławja w roku 1926 (Chataigneau) — Nauczanie publiczne w Rosji sow. (Hessen) — Czechosłowacja w roku 1926 (Dominois) — Moje wspomnienia (A. T. Wasilew) — Książki i czasopisma — Interwencja francuska w południowej Rosji 1918 — 1919 (A. Pierre). Szczególne zainteresowanie budzą artykuły, zawierające wspomnienia z Rosji z okresu wojny i rewolucji. Gen. Janin opisuje okres od 22 lutego do 5 kwietnia 1917, uwagi jego jako szefa wojsk. misji francuskiej w Rosji przynoszą parę bardzo zajmujacych szczegółów.

*

Acz z dużem opóźnieniem wypada jednak na łamach słowiańskiej rubryki „Myśli Narodowej" złożyć hołd pamięci Jovana Cvijića.

Czem Paszić w polityce, tem dla Serbji w nauce był zmarły 17 stycznia r. b. w Białogrodzie prof. uniw. dr. Jovan Cvijić, znakomity geograf, ur. 1865. Podniósł on wysoko w Europie imię nauki słowiańskiej. Był honorowym doktorem uniwersytetu paryskiego i praskiego, był członkiem honorowym wielu bardzo towarzystw naukowych, w kraju piastował godność prezesa białogrodzkiej Akademji Nauk. Prace jego z zakresu geografji, antropogeografji, geomorfologji, etnologji półwyspu bałkańskiego zyskały olbrzymi rozgłos, zjednując mu opinję najwybitniejszego specjalisty w tym zakresie. Głównem dziełem Cvijića jest „Półwysep Bałkański. Podstawy antropogeografji" (1918 w Paryżu). Cvijić był uważany za reprezentanta Serbji w nauce i kulturze europejskiej.

*

Marcowy numer praskiego miesięcznika „*Slovansky Prehled*", którzy już 19 rok służy idei słowiańskiej, przynosi szereg b. interesujących artykułów: Motywy słowiańskie w poezji Carla Snoilsky'ego (O. Heidrich) — Polityka Sazonowa przed wojną światową (J. Slawik) — Serbsko-chorwacka liryka powojenna (D. Prohaska) — Polska a wojna światowa (E. Janousek) — Narady międzyparlamentarne czechosłowacko - jugosłowiańskie (H. Ripka, wiersz bułg. poety Liliwa „Ahasver", przegląd polityczny, bibljograficzny i kronikę kulturalną słowiańską. Z polonników w tym numerze należy wymienić: wiadomość o ciekawych wierszach o Polsce szwedzkiego poety Snoilsky'ego, gorącego naszego przyjaciela z epoki powstania styczniowego, dalej historyczno-polityczne studjum Janouska, omawiające stan sprawy polskiej w Rosji i Austrji w pierwszej połowie r. 1917.

LITERATURA ZAGRANICĄ

W ostatnim zeszycie miesięcznika „*L'Europa Orientale*" (styczeń — luty) znajdujemy obszerną pracę Carlo Capasso „*La Polonia e la guerra mondiale*" („Polska i wojna światowa"). Autor wykazuje w pracy swojej źródła oraz opracowania polskie i zagraniczne dotyczące przedmiotu, i po raz pierwszy w piśmiennictwie politycznem włoskiem, daje dokładny obraz rozwoju kwestji polskiej w czasie wojny. Praca historyka włoskiego (jeszcze nieukończona) charakterem swoim przypomina niektóre rozdziały książki posła Marjana Seydy „Polska na przełomie", której prof. Capasso, jak widać, nie miał jeszcze w ręku.

*

W zeszytach za styczeń i luty miesięcznika „*Educazione Fascista*" wśród wielu artykułów wyróżniają się między innemi artykuły prof. G. Gentile O zagadnieniu religijnem we Włoszech (*Il problema religioso in Italia*) prof. Licitra o kulturze narodowej, a także studjum znanego historyka G. Volpi p. t. „Praca społeczna i odbudowa państwowa w monarchjach Europy XIV i XV wieku".

TEATR

STEFAN KIEDRZYŃSKI

W TEATRZE Małym (Szyfmana) znany pisarz Warszawski Stefan Kiedrzyński wystawił komedję w 3-ch aktach pt. „Nie trzeba się niczemu dziwić".

Przedstawienie zeszło, jak z bicza trzasł, utwór bowiem doskonale zbudowany, bardzo teatralnie—i wyśmienicie zagrany. Kiedrzyński stawia sylwety ludzkie na nowo, jak je życie dzisiejsze chce widzieć. Takie figury hr. Wojciecha, którego grał znakomity artysta Junosza-Stępowski, lub hr. de Nohl (W. Gawlikowski) — są zrobione na duży użytek komedjowy. Zastrzeżenia sztuka Kiedrzyńskiego budzi w tem, co te figury łączy,—

w poglądzie na życie samo, którego kawałek na scenę, wystawił.

Z tym poglądem na życie w naszej sztuce warszawskiej, jak o tem już nieraz tutaj mówiłem, jest źle. I nie przestanę tego powtarzać, że pisarze małej „Warszawki" marnują nieraz świetne talenty (do takich należy Kedrzyński) tylko dla tego, że w złej atmosferze wyniszczyli w sobie poczucie człowieka. Dramat pokazuje człowieka, nie posąg, lecz w pewnem działaniu — w zastosowaniu życiowem. Przygody człowieka mogą być rozmaite, ale sztuka jest od tego, żeby widz miał pokazane, gdyż jest linja normalna, od której przygody bohatera oddalają. Robi to złe wrażenie, gdy autor istotnie „niczemu się nie dziwi" i w dodatku utrzymuje, że „nie trzeba się niczemu dziwić".

Bohaterka Kiedrzyńskiego — weźmy ten przykład — ma od autora zadanie takie: musi się usprawiedliwić przed publicznością (nawet zdobyć jej sympatję) dla czego została utrzymanką hrabiego. Bo jakżeż mogła inaczej. skoro jako urzędniczka państwowa miała płacy tylko 140 zł, miesięcznie. Utrzymanie same kosztowało ją 120 zł. 20 zł. zostawało na suknię, buciki, kapelusz. Tym argumentem autor zdobywa salę, ale jest gorzej, bo zdobył nim wprzód siebie. Otóż, panowie, tak nawet w farsie nie można wymierzać wartości. Nie tylko ze stanowiska moralizatorskiego to mówię; artystycznie tak postawiona sytuacja nie może wytrzymać próby dłuższej i powszechniejszej. Tylko w bramie wśród zepsutych córek dozorcy, no i na rogach ulic po takim kursie idą wartości moralne. Cóżby stało się z bohaterką dramatu, gdyby po pierwszym akcie podwojono jej płacę? Sztuka nie dotrwałaby swego końca, a jakżeż może żyć wiecznie. Węzły dramatyczne — nawet na niby — muszą w materjale moralnym inaczej być myślane. Człowiek musi być uszanowany nawet w farsie.

Po kilkotygodniowem wycieraniu się w garsonjerze hrabiego w jedwabiach i kąpaniu w winie, panienka wyfruwa z gniazdka na ślubny kobierzec, jako dziewica bez zmazy i z puszkiem niewinności. Publiczność bije brawo za suggestją autora i pyta zaciekawiona: jak ona to robi? Narzeczony już - już chciał hrabiego zabić, ale gdy się dowiedział, że właściwie nic się fizycznie nie stało, był już bez zastrzeżeń. W takich warunkach mojem zdaniem narzeczony powinien był podziękować hrabiemu za dobre utrzymanie panienki, a jej powinszować sprytu.

Przy swoim talencie p. Kiedrzyński mógłby doskonale radzić sobie ze wszelkiemi zagadnieniami, nawet zarywając pół - światka, ale z warunkiem że go nie zawiedzie poczucie, gdzie jest cały człowiek i cały świat, dla którego jedynie warto tworzyć.

TADEUSZ ULANOWSKI

TEATR Polski (Szyfmana) wystawił sztukę (dramat?) Tadeusza Ulanowskiego „*Vox populi*". Tutaj niewiele da się powiedzieć o stronie artystycznej, nie przedstawia bowiem ten utwór wartości literackiej i scenicznej. Ale za to w całej pełni jest on dokumentem życia — wraz z treścią i autorem. Dokumentem znowu Warszawki, tylko już nie w dziedzinie moralności obyczajowej, lecz w dziedzinie myślenia społecznego.

To, co się stało w Warszawce z ideałem człowieka, zrobiło się też z ideałem życia społecznego. Ni to żart, ni to propaganda. Jakieś nieprawowite spoufalenie się z najtrudniejszemi zagadnieniami bez przygotowania myślowego i bez odpowiedniego tonu duchowego. Dokumentem to dzieło stało się dla tego, że autor, jest wysokim dygnitarzem w ministerjum pracy i opieki społecznej, powołanym właśnie do regulowania stosunków między kapitałem i robotnikami. W sztuce, przypuszczać należy, ustawił popisowo swój kąt widzenia, a tę samą duszę, nie inną wkłada w roboty polityczne. Umysł jego dojrzewał właśnie w samym ośrodku Warszawki. Przed wojną p. Ulanowski był duszą kabaretu Momusa (w dzisiejszej Oazie). Upodobania socjalistyczne kwalifikowały go do ministerjum pracy. Doświadczenie tam zdobyte dało mu tyle do myślenia, że potrzeba mu było znowu sceny do pokazania sprawy w symbolu.

Mówię o symbolu, bo rozumiem, że nie chciałoby się nikomu przedsiębrać tak ciężkiej pracy, jak trzy akty z masą ludzi, gdyby nie miał jakiejś tezy, którą sztuka może symbolicznie wyświetlić. Otóż schemat p. Ulanowskiego wydaje się być taki: Dramatyczny zatarg pracy i kapitału da się rozwikłać tylko w ten sposób, że ideał pracy proletarjatu przenikać będzie coraz głębiej do kapitału. Rozwój idei socjalistycznych doprowadza do tego, że robotnicy mają już swoich przedstawicieli w zarządzie przedsiębiorstw (dyr. Smuga). Oddziaływanie ducha jest tak silne, że w szańcach kapitału czyni wyłomy. Dyrektor Smuga poświęca się, jest niejako Wallenrodem. Podkopał się (tu jest symbol) przez uwiedzenie na socjalizm żony prezesa Hungera, który był filarem głównym w organizacji kapitału.

Stąd dramat osobisty, bo z tej propagandy urodziło się dziecko, co Hungerowi bardzo się nie podobało. Żeby się zemścić na żonie za zdradę, zrzekł się całego majątku (500 milj. zł.) na instytucję filantropijną. Ale cóż z tego? Nie wiedział, że dobre dla socjalizmu serce żony jest właśnie tam — w tej filantropji. Hunger ani się spostrzegł, kiedy kapitał swój znacjonalizował. Instytucja filantropijna będzie prowadziła dalej wielkie fabryki. Między pracą i kapitałem stanie filantropja, reprezentująca interesy robotników, oczywiście chyba pod dozorem państwa, jak obecnie w Rosji, a więc ministerjum pracy i opieki społecznej. Rozciąć węzeł potrafi byle Aleksander Macedoński, ale tak elegancko rozwiązać jak krawat i związać w fontaż — to sztuka arbitrażu.

Na scenie stała się krzywda bohaterce dramatu, b niewiele miała do powiedzenia; cały drugi akt rodziła. A zresztą cóż może słaba kobieta? Nawet nie umie wytłumaczyć, dla czego zdradziła męża. Wdarł się przez nią socjalizm i basta. A że trafiło się dziecko, to tylko wzmacnia siłę symbolu. Nowe pokolenie będzie już syntetyczne. W niem się skończy walka klas.

W tem prawie ministerjalnem, ale niezbyt misternem misterium co akt rodziło się dziecko. W pierwszym zlegla robotnica. Symbol byłby pełniejszy, gdyby tutaj ojcem był przez wzajemność kapitał. Może tak będzie pomyślany następny dramat.

Źle się wybrali emisarjusze komunizmu wschodniego pp. Wszerz i Wzdłuż. Nam nie potrzeba komunizmu stamtąd, my sobie sami zrobimy własny wzwyż i wgłąb, który już zresztą zapuszcza korzonki. P. Ulanowski jest tego przedwiośnia skowronkiem.

Z. W.

*

Sensacją dnia w Wilnie jest sztuka p. Felicji Kruszewskie p. t. „Sen", wystawiona przez „Redutę" wspaniale z dużym nakła dem trudu i pieniędzy. Sztuka, ciekawa w pomyśle, (inscenizacja snu), banalna w wykonaniu, jest stekiem reminiscencyj przeważnie z Wyspiańskiego, jeno z wyraźnem odwróceniem jego intencyj twórczych (pajac = Chochoł, Wysłaniec = Wernyhora, zgubienie złotego dukata = zgubienie złotego rogu; Widmo księcia na koniu = Świt z „Wesela"; przekupki = Erynje z „Wyzwolenia" i t. d.). Rzecz będąca wyrazem psychologji typowo romantycznej, z narzekaniami na Polskę „prozaiczną", z wybitnemi wpływami ducha rosyjskiego, wreszcie z wyraźnemi aluzjami politycznemi, (gloryfikacja majowego rokoszu) — wywołała w Wilnie przysłowiową burzę w szklance wody, stając się swego rodzaju odczynnikiem, uwyraźniającym kontrast pomiędzy wielbicielami romantycznego konwenansu — a jego przeciwnikami. Sztuka ma być wystawiona w Warszawie; ciekawe, jak ją stolica przyjmie.

SZTUKI PLASTYCZNE

WYSTAWA SZTUKI WĘGIERSKIEJ

Z RADOŚCIĄ powitać trzeba myśl urządzenia w Warszawie pokazu sztuki węgierskiej, zwłaszcza skoro wystawa zorganizowana została starannie i przedstawia się pokaźnie zarówno pod względem jakościowym jak ilościowym. Choć jesteśmy największem państwem pomiędzy morzem Bałtyckiem i Adrjatykiem, o życiu duchowem i twórczości pozostałych narodów, zamieszkujących naszą część Europy, wiemy tak mało, jak gdyby żyły one najdalej od naszych siedzib, na drugiej półkuli. Miejmy nadzieję, że wystawa sztuki węgierskiej w Zachęcie będzie wyłomem w dotychczas panującym obyczaju, że wkrótce już ujrzymy w Polsce wystawy sztuki czeskosłowackiej, jugosłowiańskiej, rumuńskiej. Komitet T-wa Zachęty ma pole do pięknej i pożytecznej inicjatywy.

Jak zaznacza w przedmowie do katalogu p. Erwin Ybl, sekretarz ministerstwa oświaty w Budapeszcie, obecna wystawa w Zachęcie „daje wystarczający obraz wartości wysiłków twórczych współczesnego malarstwa węgierskiego". Uwzględniono w niej (może niedostatecznie) i dział retrospektywny, wystawiając grupę dzieł, charakterystycznych dla twórczości malarskiej Węgier w ubiegłem stuleciu (Munkácsy P. Szinei i inni). Wprawdzie twórczość ta ma znaczenie raczej lokalne: we wspaniałym rozwoju sztuki malarskiej w drugiej połowie ubiegłego i w pierwszych latach bieżącego stulecia, malarstwo węgierskie nie wniosło wartości naprawdę wielkich i trwałych, nie wydało artystów, których np. możnaby postawić w jednym szeregu z Whistierem, Burne-Jonesem, Monetem, Segantinim, Böcklinem, Wyspiańskim... Munkácsy, mimo niewątpliwego talentu, nie jest wolny od wad nudnej, pretensjonalnej szkoły malarstwa historycznego zeszłego wieku, od których zresztą jeden tylko płomienny genjusz Matejki umiał ustrzec się bezwzględnie i całkowicie. Tem nie mniej wczorajsza i dzisiejsza sztuka węgierska może pochlubić się zastępem artystów wybitnych, sumiennych, dobrze świadczących o kulturze malarskiej własnej i swego kraju.

Malarze węgierscy są w najściślejszem słowa znaczeniu m a l a r z a m i, t. j. kładą nacisk na najbardziej malarski środek wyrażenia swych wzruszeń, jakim jest b a r w a. Wśród licznych dobrych kolorystów warto wymienić artystów takich, jak Katona, Glatz, Knopp, Iványi Grünwald, Rudnay, Déry, pełen fantazji hr. Batthyány, Rippl, Márffy, Vaszary. Wśród najmłodszych widoczne są wpływy mody paryskiej, nie są oni jednak ślepymi naśladowcami obcych wzorów i niejednokrotnie poprzez zagraniczną manjerą potrafią ukazać indywidualność osobistą i narodową. Wystawiono też znaczną ilość poprawnych rzeźb, między innemi cennego „Chłopaka ze ślimakami" Stefana Szantgyörgyi. W dziale przemysłu artystycznego na wyróżnienie zasługują bardzo piękne tkaniny.

Na wystawie bieżącej „Święta rodzina" J. Hoppena wyróżnia się sumiennością, opanowaniem techniki i szczerością artystycznych intencyj. J. P. Janowski wystawił kilka niezłych obrazów olejnych i słabszych znacznie pastelowych oraz rysunków. M. Nehring dał parę miłych, bezpretensjonalnych akwarel, głównie widoków Kazimierza. Z prawdziwym żalem zaznaczyć wkońcu należy, że i tym razem nie oszczędzono odwiedzającym wystawę „Zachęty" widoku prac pp. Nowiny—Przybylskiego, Kaweckiego i t. p., co więcej, nie powstydzono się zakwalifikować do wystawienia na widok publiczny prac tak poniżej wszelkiego dopuszczalnego poziomu będących, jak robótki p. Weinles.

K. L.

NA MARGINESIE

O tem, jak obsługiwana jest opinja publiczna przez organy sanacji moralnej, możemy mieć pojecie ze skandalicznego postępku P A T 'a (Polska Agencja Telegr.). — Urzędowy ten organ rozesłał do dzienników telegram o przyznaniu nagrody literackiej m. Łodzi Sieroszewskiemu, podczas gdy ją otrzymał Al. Świętochowski. Tłumaczy się potem, że nie dosłyszał nazwiska i imienia. Przyjęto ten fakt w prasie pobłażliwie, jako modny teraz figiel, boć każdy wie, że omyłka odwrotna byłaby niemożliwa. Ubolewać należy, że radosna czy wesoła „tworcześć" tak mało krępuje się powagą nazwisk.

*

Opinja publiczna doznała pewnej ulgi na wieść, gdy rząd zaprzeczył, jakoby „Głos Prawdy" i „Epoka" miały z nim cokolwiek wspólnego. Zależy każdemu na powadze rządu. Tymczasem „Myśl Niepodległa" ogłasza okólnik do władz kolejowych, polecający te pisma jedynie, jako miejsce płatnych ogłoszeń państwowych. Co może zależeć na narzucaniu ogółowi organów, nie mających żadnego duchowego kontaktu ze społeczeństwem polskiem, które chciałoby serjo swoje dzieje traktować?

*

„Wiad. Liter." dobrze robią, że zwracają się do polskich pisarzy z pytaniem, co zrobić ze Słowackim. Ale niepotrzebnie zapytują o to redaktora „Myśli Narodowej", bo on już swoje zdanie wypowiedział, a „Wiad. Lit." już go za jego opinję zwymyślały w paru numerach. „Wiad. Lit." oczywiście milszy jest histeryczny jazgot pani M. J. Wielopolskiej, niż pogląd historyczuy, że Krzemieniec, ma prawo do Słowackiego. Oczywiście jeżeli ktoś tylko tyle ma do powiedzenia o Słowackim, że „m u s i (!) spocząć tam, gdzie spoczywa Mickiewicz"; jeżeli jedynie przez Mickiewicza Słowacki ma dla niego jakąś wartość, no to niech się pyta o grób pensjonarek i żydków, tam znajdzie zgodną afirmację swoich poglądów.

*

Wielkie zgorszenie wywołało niedawno w prasie zagranicznej ujawnienie faktu, że do publikacyj oficjalnych, wydawanych przez sekretarjat Ligi Narodów, dołączane były odezwy propagandowe treści następującej (po francusku i po angielsku): „Ograniczajcie liczbę urodzeń, a zmniejszycie tym sposobem możliwości nowych zatargów!" Mimo ujawnienia skandalu, sekretarjat Ligi Narodów nie wykrył i nie ukarał winowajcy czy też winowajców, nadużywających swego stanowiska w Lidze dla szerzenia propagandy malthuzjańskiej.

Szkoda, że w naszej prasie nie pojawiły się dotychczas echa tego bądź co bądź bardzo interesującego i znamiennego wydarzenia. Jest ono nader cennym komentarzem do rozważań o... idei Ligi Narodów.

*

W „Wiadomościach Literackich" (Nr. 167) pisze p. Anatol Stern o Ilji Erenburgu następująco:

(Erenburg) ...„zwiedza Europę zachodnią i jest oszołomiony. Pissuary londyńskie, fajki Dunhilla, skrzypce Picassa, wieża Eiffla—wszystko to tworzy orgjastyczny korowód, którego wir tak porywa, upaja Erenburga"...

Przytoczymy zaś szereg przykładów, konkluduje:

...Erenburg szeroko stosuje swą metodę sadystycznego oświniania świata. Nie cofam słowa. Właśnie „sadystycznego" i właśnie „oświniania".

Cóż to za apostoł ten p. Anatol Stern?

Bierzemy „I polski almanach fururystyczny" p. t. „gga". Na str. 15 znajdujemy wiersz tegoż pana Anatola Sterna p. t. „pissuary".

...miłosne natchnienie włosy z czoła mu odgarnia,
różowa, silna pani za rękę go chwyta —
i przesycona miłością wymiotów kawiarnia
jak możliwiej chutności zorza przed nim świta.
...płonącym okiem ściga kobiet lekkie nóżki,
gdy spódnic swych unoszą, przechodząc przez trotuar,
mgłą mu zachodzą oczy, już biegnie do stróżki
i prosi ją wstydliwie by otworzyła pissuar.
w ślizgim pałacyku tym wspiera się o ścianę
spartym tak powietrzem oddycha z lubością
i znęca się nad sobą...
...w tym smrodzie zazna rozkoszy jakich nie da życie, it.d

Wystarczy! — I my nie cofniemy słowa tym razem pod adresem autora „pissuarów". „Właśnie „sadystycznego" i właśnie „oświniania". Dodamy tylko, że to „sadystyczne oświnianie" świata tkwi w żydostwie Erenburga i p. Amatola Sterna.

*

Ostatni (14) numer „Wiadomości Literackich" zamieszcza najświeższą nowelę Juljusza Kadena-Bandrowskiego, rzucającą wiele interesującego światła na psychikę autora. Niestety, wskutek zadziwiająco niestarannej korekty, tytuł noweli wypadł całkiem niezrozumiale, nawet bezsensownie. Wydrukowano mianowicie w nagłówku: „Senator i dziewczyna", gdy tymczasem z treści wynika wyraźnie, że właściwy tytuł tego utworu może i powinien brzmieć jedynie... „S a n a t o r i dziewczyna."

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski”, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM